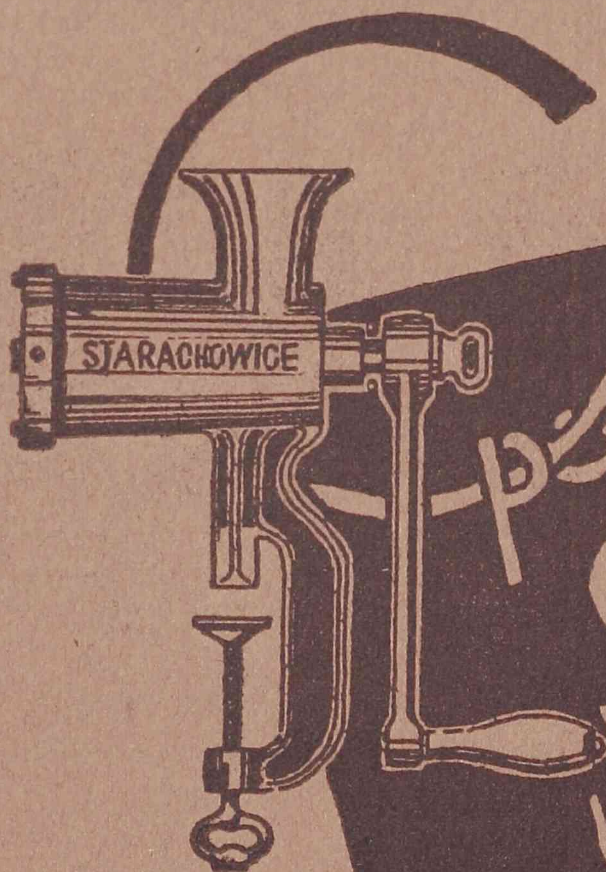
Nr. 41 • 8 • X • 1932

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



ŚWIAT



Czy wiecie że są polskie maszynki do mięsa
STARACHOWICE
w niczem nie gorsze od zagranicznych



MODNE MYDŁA
TOALETOWE



ADAMCZEWSKI

FUTRA

NAJNOWSZE
MODELE
ŻAKIECIKÓW
i PŁASZCZY
FUTRZANYCH

PREZENTUJE

D/H J. LEHR i S-ka

Marszałkowska 130. Tel. 618-32

W wielkim wyborze skórki do przybrania palt

ROK ZAŁOŻENIA 1865



To ostrożność co się zowie!
.... a potem
naturalnie **ASPIRINA!**
Do nabycia we wszystkich aptekach.



Daj skrzydła swym listom, korzystaj z poczty lotniczej.

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 8-go PAŹDZIERNIKA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 41 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

DRAMAT ROSYJSKI NA SCENIE WARSZAWSKIEJ

Z powodu wystawienia po raz pierwszy w Warszawie znakomitej tragedji wielkiego poety i dramaturga rosyjskiego, Aleksego hr. Tołstoja, p. t. „Śmierć Iwana Groźnego", podajemy artykuł o autorze i jego dziełach.

Wśród poetów rosyjskich połowy XIX-go wieku wybitne miejsce zajmuje Aleksy hr. Tołstoj, daleki krewny „mędrca z Jasnej Polany" — Lwa Tołstoja.

Al. Tołstoj był świadkiem epoki przełomowej w dziejach Rosji. Na początku panowania Aleksandra II warunki polityczne i ekonomiczne życia rosyjskiego znacznie się zmieniły. Zreformowanie sądownictwa i szkolnictwa, wprowadzenie samorządów i zniesienie pańszczyzny otwierały szerokie pole życiu społecznemu. Dopiero po r. 1866 liberalizm sfer rządowych ustąpił miejsca reakcji biurokratycznej; rewolucjoniści — „nihiliści" rozpoczęli krwawą walkę z biurokracją i z caratem.

A. Tołstoj ani nie należał do zwolenników biurokracji, ani nie był członkiem jakiegokolwiek stronnictwa politycznego. Arystokrata, wychowany przez wuja literata, Al. hr. Pierowskiego, od lat dziecinnych był zaprzyjaźniony z carem Aleksandrem II i zachował serdeczne stosunki osobiste z rodziną cesarską na całe życie. Jednakże trzymał się zdala od wszelkich honorów. Wolał bowiem pozostawać wolnym, być samym sobą, t. j. poetą. Jako mały chłopiec spędził pewien czas w Niemczech i we Włoszech, poznał kulturę zachodnią i w ciągu życia częstokroć podróżował po Europie. Niechętnie mieszkał w Petersburgu i w Moskwie; wolał spędzać życie na wsi, w którymś ze swych majątków.

Tołstoja nie obchodziła wcale opinja społeczna ani rządowa. Zarówno wykpiwał w wierszach satyrycznych „nihilistów", jak biurokrację. Bronił po-rycersku prawdy, wstawiał się za prześladowanymi przez władzę literatami i działaczami politycznymi. Do Polaków żywił serdeczną przyjaźń: po r. 1863 manifestował swe uczucia dla kultury polskiej, w r. 1869 wzniósł w Odeskim Klubie Angielskim toast na cześć wszystkich narodów państwa rosyjskiego, kierując swoje słowa przedewszystkiem w stronę Polaków.

Tołstoj dał wyraz swoim poglądom w poemacie „Jan Damascen", opisując los poety, uciekającego z dworu kalifa do życia pustelniczego, aby śpiewać hymny Bogu i naturze. Uczucia religijne jego sięgały mistycyzmu. Wykrycie tajemnic wszechświata skierowało go na drogę poznawania ukrytego sensu życia, jego objawów w spirytyzmie, w romantycznem ujęciu wieczności. Uczucia osobiste były niemniej głębokie: przez całe życie żywił „jedyną nieśmiertelną miłość" do p. Zofji Millerowej, z którą się ożenił; ukochana kobieta była dla Tołstoja nie tylko towarzyszką dozgonną, lecz i krytykiem jego utworów, współwyznawczynią jego religji.

Romantyk z ducha, Tołstoj nie należał do epigonów doby romantycznej. Wiadomo, jaką popularnością na początku wieku XIX cieszyły się ballady. Nastroje tej poezji nie przypadały do gustu Tołstojowi. Jego ballady, których tematy czerpał z bylin rosyjskich i podań średniowiecznych zachodnio-europejskich, są raczej poematami fantastycznemi. Pełne humoru i werwy, ballady te nacechowane są uwielbieniem przeszłości, gdy człowiek był wolniejszym, bardziej niezależnym. W niektórych utworach znajdujemy niechęć Tołstoja do epoki panowania Tatarów, oraz do zrodzonego stąd samowładztwa moskiewskiego. „Książę Repnin" i „Wasilji Szybanow" są typowemi tego rodzaju utworami. W tym ostatnim (przetłumaczonym przed kilku laty na język polski) poeta opowiada o ucieczce do Polski Andrzeja ks. Kurbskiego, który dowodził pułkami Iwana w Inflantach. Zużytkował on tu korespondencję Groźnego z Kurbskim, dając żywe obrazy księcia, cara i sługi Kurbskiego — Szybanowa, który — według podania — dostarczył list swego pana carowi i zginął w męczarniach z rozkazu Groźnego.

Tołstoj przeszło dwadzieścia lat studjował dzieje Rosji XVI-go wieku. Na podstawie tych studjów napisał główne swe utwory.

Romans historyczny „Książę Sieriebrianyj" jest wspaniałym obrazem epoki Iwana Groźnego i — w gruncie rzeczy — aktem oskarżenia przeciwko Iwanowi. Zapłatą za te grzechy cara powinna była być zagłada idei samowładztwa. To ujęcie epoki Groźnego tworzy podstawę „Trylogji Dramatycznej" Tołstoja. Przecież epoka i postać głównego bohatera zawierały tyle cech tragicznych.

Po kilku latach pracy powstały trzy dramaty: „Śmierć Iwana Groźnego", „Car Fjodor Ioannowicz" i „Car Borys". Tołstoj odtworzył całą epokę, wykrył ideę sprawiedliwości dziejowej, która doprowadziła do zagłady dynastji carów.

Niezrównoważony, podejrzliwy, okrutny Iwan, marzący o władzy mocarstwowej, jest głównym bohaterem „Trylogji". Tołstoj bardzo trafnie rozpoczął akcję pierwszej ze swych tragedyj od momentu rezygnowania Iwana z tronu. Ten samowładca był w gruncie rzeczy świetnym aktorem. Zainscenizowawszy pozorne zrzeczenie się tronu, pragnął, aby bojarzy wpadli w pułapkę. Niektórzy z nich uwierzyli w szczerość Iwana, ale przebiegły Borys Godunow ostrzegł wszystkich i udaremnił nowe okrucieństwa, skłoniwszy Iwana do ponownego objęcia władzy. Świetny efekt teatralny, wyzyskany przez Tołstoja, zawiera dalsze możliwości. Car jest przekonany, że ma pełną władzę nad poddanymi. Ale oto poseł Stefana Batorego daje mu do zrozumienia, że ta władza jest względna. Z drugiej strony ręka karząca Boga objawia się w groźnych zjawiskach natury: piorun podczas zimy wpada do pokoju, w którym Iwan niegdyś zabił syna; ukazuje się na niebie kometa. Mimowoli car odczuwa swoją nicość wobec władzy wyższej, wylicza swoje przestępstwa, załamuje się duchowo, zapytuje wróżbiarzy o swój los i otrzymuje przepowiednię, że umrze w dniu św. Cyryla.



ALEKSY HR. TOŁSTOJ

Iwan nie umie pogodzić myśli o śmierci z nieprzerwaną tradycją władzy. Syn jego jest słabym, bezwolnym człowiekiem. Niema godnego następcy — niema tradycji; zbliża się ostatnia godzina. Wróżby spełniają się. Tłum pieśniarzy i trefnisiów, których wprowadzają do pałacu, aby rozweselić cara, zjawia się w chwili śmierci Iwana. Na tron carski wstępuje niedołężny syn.

Drugą część trylogji uważa autor za najlepszy swój utwór. Istotnie, ta tragedja człowieka nieprzygotowanego do życia praktycznego, na którego barki spada ciężar władzy, staje się w ujęciu Tołstoja jaskrawszą od tragedji Iwana. Poeta uwydatnił bezradność tego nieszczęśliwca, zestawiając go z Borysem Godunowem, który zabrał władzę w swoje ręce. Syn Groźnego uwielbia ciszę klasztoru, dzwony cerkiewne, samotność. Zamiast tego jest zmuszony do objęcia władzy, której staje się niewolnikiem. Końcowa scena tragedji, gdy Fjodor pozostaje z żoną wśród żebraków na placu kremlowskim, zawiera głęboki sens: zapowiedź kary za grzechy ojca spełnia się.

Trzecia część trylogji jest najmniej udana. Autor nie potrafił wykryć w Borysie Godunowie jego dodatniej cechy: mądrego poglądu na ideę władzy carskiej, którą Iwan doprowadził do zagłady. Dopiero z biegiem czasu Godunow, według Tołstoja, zaczyna odczuwać moralne następstwa swego czynu — zabójstwa carewicza Dymitra, syna Iwana. Los mści się na Godunowie, który musi za swój czyn zapłacić śmiercią.

„Car Iwan Groźny", wystawiony w Petersburgu w r. 1867, miał nadzwyczajne powodzenie. W roku następnym tę tragedję Tołstoja grano w Wejmarze, w tłumaczeniu na język niemiecki Karoliny Jaeniszówny - Pawłowej, którą Tołstoj dobrze znał osobiście. Pawłowa uwielbiała Mickiewicza od wczesnej młodości (gdy poeta bawił w Moskwie) do końca życia. Przyjaźń z Pawłową pogłębiła polskie sympatje Tołstoja. Możliwe, że przy jej poparciu trylogja dramatyczna została przetłumaczona na język polski przez Moszyńskiego i wyszła w Krakowie w 1870 — 71 roku.

Pawłowa przetłumaczyła na język niemiecki także część drugą — „Cara Fiodora" — ale dramat ten pozostał w rękopisie i wystawiony w Niemczech nie był. Zresztą cenzura rosyjska przeszkodziła ukazaniu się tej sztuki nawet na scenie rosyjskiej. Dopiero w roku 1898 zakaz został zniesiony.

Obecnie „Śmierć Iwana Groźnego" ukazuje się na widowni „Teatru Narodowego" w Warszawie w nowym, pięknym przekładzie znanego poety Stanisława Miłaszewskiego.

S. Kułakowski

„Car Iwan Groźny", słynnej trylogji dramatycznej pisarza rosyjskiego Aleksieja hr. Tołstoja część I-sza — której premjerę w natchnionem twórczem spolszczeniu Stanisława Miłaszewskiego dał na inaugurację sezonu *Teatr Narodowy* — jest dla publiczności warszawskiej bezwzględną nowością. Nie grały jej nawet przyjeżdżające do nas za czasów carskich w okresie „paschy" prawosławnej trupy cesarskich teatrów z Petersburga, bądź Moskwy; — „Śmierć Iwana Groźnego"

ZE ŚWIATA



Uroczystość ku czci Gustawa Adolfa w Szwecji teatr szwedzki uczcił wystawieniem oryginalnej sztuki, w której rolę tytułową gra znakomity aktor Karol Strom. Królewską zaś przyjaciółkę odtworzyła Anna Linthal



Książę de Connaught przegląda leibgwardję królewską, stacjonowaną przy pałacu St. James. Żołnierze ubrani są w kostjumy z czasów Henryka IV

Fot. New-York Times



Rewja gwardji krolewskiej w dniu święta kawalerów orderu św. Jerzego, najwyższego odznaczenia bułgarskiego

(taki jest tytuł oryginału) była *nie dazwolena cienzuroju...*

Dopiero po rewolucji roku 1905-go, w okresie pewnych już swobód quasi „konstytucyjnych", pozwolono słynnemu Teatrowi Artystycznemu z Moskwy pod dyrekcją Konstantego Stanisławskiego odegrać w Teatrze Wielkim trylogji część II-gą p. t. „Car Fiodor Joannowicz" z nieporównanym Moskwinem w roli tytułowej. Ale części pierwszej o Iwanie Groźnym grać nie pozwolono. Przynajmniej w Warszawie. W Łodzi bowiem, w roku zdaje się 907-ym, 8-ym czy 9-tym, udało się kierownikowi ówczesnego Teatru Popularnego, znanemu artyście dawnych warszawskich „Rozmaitości", ś. p. Bolesławowi Bolesławskiemu uzyskać *„dazwoleno"* dla Iwana. Jakoż grano go na scenie łódzkiej z olbrzymiem powodzeniem z tymże Bolesławskim w roli tytułowej i ze ś. p. Andrzejem Mielewskim, jako Godunowym.

Rzecz oczywista, iż za kordonem — zwłaszcza w zaborze austrjackim — wystawieniu sztuki władze przeszkód nie czyniły. Grano więc „Śmierć Iwana" z powodzeniem w Krakowie w pierwotnym, w roku 1870-ym dokonanym, przekładzie białym wierszem Moszyńskiego (obecny nowy przekład Miłaszewskiego jest rymowany). Okrutnika-despotę kreował wówczas mistrz Ludwik Solski (obecnie gra ją Kazimierz Junosza-Stępowski), Borysa Godunowa — Józef Sosnowski (w Narodowym — Józef Węgrzyn).

Dla uzupełnienia dziejów utworu tołstojowskiego na ziemiach polskich dodać należy, że już za czasów naszych — jakieś ośm czy dziewięć lat temu — znany artysta Teatru Stanisławskiego, jeden z najwybitniejszych żyjących aktorów rosyjskich, Aleksander Kaczałow, przejazdem z Moskwy zagranicę wystąpił w Warszawie z własnym wieczorem recytacyjnym, na którym odczytał z obrazu V-go „Iwana Groźnego" wielką scenę spotkania cara z posłem polskim Haraburdą — starcie się dwóch odrębnych kultur...

Znakomity artysta ze specjalnem przejęciem się i wyrazistością wygłosił tekst roli Haraburdy (podobno jedna z lepszych ról tego artysty; u nas gra ją Bogusław Samborski), i słuchaczom recitalu odrazu stało się jasne, dlaczego *„Smiert' Joanna Groznawo"* wydawała się władzom carskim tak „groźna" na polskich ziemiach...

X.

Od ministerstwa do wydziału

Rozpoczęta w № 40 „Świata" opowieść o dziejach opieki państwowej nad sztuką i kulturą wywołała wielkie zainteresowanie w sferach artystycznych. Kontynuujemy ją dzisiaj.

II.

P. Ponikowski, jednocząc w swych rękach premjerostwo z teką oświaty, na dyrektora Departamentu Sztuki powołał znakomitego malarza Juljana Fałata. Fałat już wtedy liczył 72 lata. W administracji nigdy nie pracował, a jako dyrektor Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie zaznaczył się nikle. Właściwymi bowiem kierownikami tej Akademji byli: programowym — Stanisławski, administracyjnym początkowo stary biurokrata Gorzkowski, a później A. Łada Cybulski.

Fałat zdawał sobie jasno sprawę, że mężem stanu nie był, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że posiadał firmę i urok towarzyski.

To też w urzędowaniu na tych dwuch wartościach zdecydował się oprzeć. Urzędował w południe w „Astorji", wieczorem u Langnera lub w „Bristolu". Ze wszystkimi był na „ty". Wszyscy zachwyceni byli „kochanym dyrektorem".

Lata jednak swoje robiły, braki w osobistej kasie również. Fałat uznał się przy takiem urzędowaniu fizycznie i finansowo wyczerpanym. Po półrocznej pracy wyjechał na półroczny urlop i więcej nie wrócił.

Jako swego zastępcę pozostawił jednego z urzędników departamentu, p. Jana Skotnickiego.

Wtedy, a było to w r. 1922, p. Skotnicki nie posiadał jeszcze ustalonej firmy artystycznej. Wprawdzie uchodził za zapowiadającego się pięknie malarza, ale wojna światowa 1914 r. zastała go zaledwie na dorobku i przerwała karjerę artystyczną. Natomiast znany był z ostatnich lat wojny jako organizator, a przedewszystkiem człowiek o wyrobieniu politycznem i społecznem, o sposobie myślenia kategorjami państwowemi.

Skotnicki, znający dobrze działalność byłych swych szefów, oraz aparat, który mu powierzono, postanowił unikać błędów poprzedników. Chciał przedewszystkiem być życiowym, chciał upaństwowić program Departamentu Sztuki i zmontować administracyjnie ten aparat.

Sądził, że na wykonanie programu, noszącego charakter potrzeb państwowych, pieniądze w Skarbie muszą się znaleźć, a potrzeby kulturalne Państwa są tak wielkie, że każdy artysta w Polsce z każdego działu sztuki znajdzie swe zastosowanie przy robocie kulturalno-państwowej i zarobi na życie.

Był przytem zdania, że bezpośrednią opiekę nad artystami należy ograniczyć jedynie do opieki nad młodzieżą artystyczną i inwalidami sztuki. Pozatem zamierzał uporządkować w drodze ustawowej i regulaminowej życie artystyczne w Państwie.

Podjął się zatem przeprowadzenia przez Sejm projektu prawa autorskiego, przygotowanego w Komisji Kodyfikacyjnej, zawarcia szeregu konwencyj międzynarodowych, opracowania nowej ustawy o ochronie zabytków, uporządkowania stosunków płynących z konkordatu, zabezpieczenia wpływu artystycznego na rozbudowę kraju, utworzenia stypendjów we wszystkich działach sztuki i opracowania regulaminu tych stypendjów, zarówno jak wprowadzenia w życie nagród państwowych. Pozatem zamierzone zostało wprowadzenie w Urzędach Wojewódzkich lokalnych Oddziałów Sztuki, a to w związku z pracą kulturalno-propagandową na kresach, oraz uporządkowanie szkolnictwa artystycznego.

Program p. Skotnickiego był pierwszym konkretnym programem w dziedzinie opieki państwowej nad sztuką i — o ile wiemy — został w rządzie przyjęty z uznaniem. Obejmował on lata do 1926 włącznie.

Ale program ten okazał się również mało życiowym. Natknął się on na okres organizowania stałej waluty, a następnie załamania się złotego w r. 1925 i drakońskich zarządzeń pp. Grabskich.

Był on zresztą nierealny i z innego powodu.

P. Skotnicki chęcią unormowania życia artystycznego w Państwie zyskiwał wprawdzie coraz większe zaufanie sfer politycznych, ale tracił zaufanie artystów, tembardziej, że stwarzał dokoła siebie atmosferę niedostępności.

Wpływy i zaufanie władz były tak wielkie, że pomimo trudnych okoliczności powiększył budżet przynajmniej trzykrotnie w porównaniu z dotacjami Ministerstwa Sztuki, — objął kierownictwo pracy kulturalnej na Kresach, ujął w pewne karby szkolnictwo artystyczne, przeprowadził parę ustaw. Ale cóż to obchodziło artystów, że p. Skotnicki spędza czas na komisjach sejmowych, użera się z prawnikami; cóż ich obchodził ich dochód w nieokreślonej przyszłości, płynący z prawa autorskiego, czy jakiejś tam konwencji! Oni chcieli zaraz pieniędzy, a tych p. Skotnicki nie miał, a nawet jeśli je miał, nie chciał dawać wpływowym firmowcom.

Przytem p. Skotnicki wpadł na pomysł dla swych agend zabójczy: wobec katastrofalnego stanu skarbu poszedł na rozbicie funduszów państwowych łożonych na sztukę i na ukrywanie ich po różnych resortach. Umyślił sobie, że o ile znajdą się one w szeregu ministerstw, to skarb państwa nie bę-

dzie w stanie zorjentować się należycie, ile istotnie łoży na sztukę, a tem samem da się przemycić większą sumę. Istotnie, sztuka zarobiła na tem odciążeniu budżetu departamentu wiele tysięcy, czerpiąc pieniądze z Prezydjum Rady Ministrów, z Funduszu Kultury Narodowej, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z Kancelarji Cywilnej, z Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Spraw Wewnętrznych, Wojskowych, z Departamentu Szkół Zawodowych i t. d., przez to jednak Departament stracił znaczenie i wpływy u artystów.

Wprawdzie p. Skotnicki starał się mieć wewnętrzny wpływ na użytkowanie tych funduszy, ale część wyłamała się z pod jego kompetencji i nadzoru, tworząc z czasem odrębne ośrodki, konkurencje, obniżające jego popularność.

Rządy p. Skotnickiego w Departamencie trwały najdłużej ze wszystkich kierowników tego działu, conajmniej jakieś sześć lat. To też najwięcej mógł zrobić. Czy zrobił? Czy stworzył pomyślne warunki dla rozwoju sztuki w państwie polskiem?

Na te pytania zatrudno jest odpowiedzieć. Może kiedyś odpowiedzą na nie historycy sztuki, mający dostęp do archiwów urzędowych Departamentu.

Dzisiaj skonstatować musimy, że popełnił pewien błąd psychologiczny: może zbyt dużo miał w sobie biurokratyzmu, zamało zrozumienia nastrojów producentów Sztuki.

P. Skotnicki wprowadził np. dokładne statystyki ruchu widowiskowego i wydawniczego w Państwie, zarówno polskiego, jak mniejszości. Starał się opierać subwencjonowanie pewnych instytucyj na tej statystyce, posyłając pieniądze tam, gdzie polska kultura zdawała mu się być zagrożona. Takie na objektywnych podstawach oparte dysponowanie pieniędzmi wydawało się wielu zmartwiałym szablonem. Zwłaszcza, że wokół byli żywi ludzie, potrzebujący gotówki.

Pomijanie interesów grup, artystycznych koteryj i kliczek, często bardzo wpływowych, musiało pomścić się na p. Skotnickim. Stwarzał on koło siebie atmosferę osamotnienia, nie chciał opierać się na kimkolwiek, nie pijał nawet „małej czarnej" w „Małej Ziemiańskiej" przy małym stoliku z małym „rządem".

Dla niego „Pastorałki" w Nowogródku, pokazywane przez „Redutę", były stokroć ważniejsze, niż wystawienie „Nieboskiej Komedji", „Róży" Żeromskiego, czy „Potiomkina" Micińskiego przez Schillera w Warszawie.

Tego świat artystyczny stolicy, a szczególnie „Ziemiańskiej", nie mógł strawić.

A już kiedy począł wglądać w rachunki budowy pomników, imprez wystawowych, w administrację teatrów, szkół artystycznych, co zakrawało na nietakty koleżeńskie, tego było zawiele.

Uruchomiono huraganowy ogień ze wszystkich dział: anonimy, ataki prasowe, wiece, wieczory dyskusyjne, rząd, Sejm, Senat. Zamiast wystąpić z kontratakiem, p. Skotnicki pokrywał te ataki milczeniem. Sądził, że przetrwa burzę. Pomylił się. Uznano za szczyt obelgi świata artystycznego, że zlekceważył opinję!

To też gdy przyszedł p. Świtalski na stanowisko ministra Oświaty, rozpoczął reformy w ministerstwie od osoby p. Skotnickiego.

Podobno postawiono mu przy pożegnaniu zarzut, że za wielki wpływ miał na byłych ministrów oraz na urzędników całego resortu. Oświadczano też, że rząd od roku 1928 — roku obfitości i urodzaju — ma zamiar asygnować na sztukę większą ilość pieniędzy, a dysponowanie temi funduszami przez niego mogłoby być dokonane niezupełnie „z wyczuciem obecnej chwili".

Z. Z. Z.

(D. c. n.).

NA SZPALTACH PISM

POLEMIKA O WALUTĘ POLSKĄ

Prof. Adam Krzyżanowski, b. poseł sejmowy i b. referent generalny budżetu, a więc bezsporna powaga w sprawach skarbowych, szukając dróg wyjścia z obecnego marazmu gospodarczego, doszedł do przekonania, że najwłaściwiej byłoby dopuścić do „nieznacznej i chwilowej dewaluacji złotego bez ograniczeń dewizowych, bez moratorjum, bez inflacji", jeśli chcemy uniknąć zupełnego wyzbycia się złota przez Bank Polski.

Profesor krakowski uzasadnia swój pogląd w poważnym „Przeglądzie Współczesnym" dwoma argumentami: 1) nawet niewielka dewaluacja przyczyni się do ożywienia życia gospodarczego, 2) stała waluta i tak staje się obecnie fikcją, która musi ustąpić wobec konieczności dziejowych. Żyjemy bowiem w epoce dążeń do samowystarczalności gospodarczej i w okresie daleko posuniętego interwencjonizmu rządów w sferze gospodarczej. Jedno i drugie zjawisko nie wiąże się wcale ze stałością waluty, która potrzebna jest tylko ustrojowi wolno-konkurencyjnemu. Natomiast „chwiejność waluty stanowi konieczny współczynnik interwencjonizmu".

Na te wywody obszernie odpowiada w „Gazecie Polskiej" b. minister skarbu, p. Ignacy Matuszewski. Uważa on przedewszystkiem wskazania prof. Krzyżanowskiego za spóźnione. Można było o tem mówić przed rokiem, gdy Niemcy ogłosiły bankructwo, a Anglja wyrzekła się parytetu złota. Pójście wówczas tą drogą dawało pewne plusy. Myśmy wybrali jednak drogę trudniejszą, ponieśliśmy wiele ofiar, byle utrzymać pełną wartość złotego, byle nie osłabiać ponownie zaufania do polskiej waluty, nie rujnować rozpoczynającej się kapitalizacji i nie wypłaszać pieniędzy polskich zagranicę. Przetrwaliśmy najgorszy czas:

„Przez ten rok wszystko, co miało z Polski odpłynąć — już odpłynęło. Teraz poczyna wracać. Panika wewnętrzna — widząc decyzję utrzymania stałości waluty — ucichła. Potrafiliśmy utrzymać stale dodatni bilans handlowy. Zmniejszyliśmy poważnie nasze zadłużenie zagraniczne. Wreszcie regulacja sprawy długów międzysojuszniczych zbliża się już do ostatecznego rozwiązania, które musi przynieść ulgę i odprężenie strukturze finansowej całego świata".

Słowem — według p. Matuszewskiego — najgorsze mamy za sobą. Zmiana polityki walutowej pozbawiłaby nas owoców dotychczasowych wysiłków i wyrzeczeń.

Nie tak optymistycznie zapatruje się „Gazeta Warszawska". Utrzymuje, że p. Matuszewski, wybierając „trudniejszą drogę", pominął te wszystkie trudności, które nie pozwoliły wejść na nią prof. Krzyżanowskiemu. To też „Gaz. Warsz." twierdzi, że ani prof. Krzyżanowski, ani minister Matuszewski nie wskazali właściwego sposobu wyjścia. Dopiero ona to wyjście odnalazła: „Jest to droga zupełnej zmiany obecnej polityki gospodarczej i niegospodarczej, droga zaufania wewnętrznego i zewnętrznego".

Ciekawa ta dyskusja przyciągnie zapewne więcej jeszcze polemistów i wywoła repliki ze strony inicjatorów. Będziemy ją śledzić uważnie.

Popołudniowa pogawędka

Pan Piperment siedział w Grützhändlerowskiem *etablissement* nad mazagranem, po raz trzeci już rozwodnionym, i od czasu do czasu dzielił się swojemi refleksjami z panem Futermuterem, który znów na te refleksje odpowiadał kontrrefleksjami, z dwóch zaś takich wymian głębokich zastanowień wynikała co jakiś kwadrans mniej albo więcej wyborna dyskusja.

— Znów dokładają kilka procent dopłaty na fundusz dla bezroboczych. Czytałeś pan, panie Futermuter?

— Czytałem i rozumiem.

— Co pan rozumiesz, panie Futermuter?

— Że niema nic gorszego nad bezroboczych. Dlatego ich chcą przekupić narodową składką. „Bierzcie pieniądze, panowie bezroboczy, tylko się nie gniewajcie, że nic nie robicie". Długobyś pan wytrzymał bez roboty, panie Piperment? A widzisz pan, niedługo! A oni wytrzymują. Zato im się należy wynagrodzenie. Zagranicą buduje się specjalne teatry dla bezroboczych, kinematografy, ogrody zoologiczne, baseny, stadjony, sale gimnastyczne, czytelnie. Już starożytny proletarjat bezroboczy wołał: „Jedzenia i zabawy!" I każdy Cezar uwzględniał te słuszne żądania. Pan sobie przypominasz palenie chrześcijan dla zabawy proletarjatu? A rozszarpywanie chrześcijan przez dzikie bestje? Wtenczas chrześcijan było niewielu. Ja się bardzo dziwię, że dzisiejsze rządy nie wpadają na ten sam pomysł, gdy chrześcijan jest znacznie więcej. Palić chrześcijan i konfiskować ich majątki! Zarazbyśmy odczuli poprawę gospodarczą w kraju i zjednałoby się sobie bezroboczych. Ale na to trzeba, żeby w rządzie pierwsze skrzypce bębnili prawdziwi państwowcy. Gdzie pan dzisiaj masz państwowców na miarę Nerona? Dzisiaj się pali, zamiast chrześcijan, pszenicę, kawę, samochody, i ani jednemu plantatorowi kawy nikt jeszcze mordy nie rozbił!

— Jeżeli tak dalej pójdzie, panie Futermuter, to dochody bezroboczych przewyższą dochody wszystkich na świecie ludzi pracujących. Teraz znów od gazu płać podatek na bezroboczych. Od przedmiotu pierwszej potrzeby! Jak można tak gnębić ludzi pracujących na korzyść nic nie robiących.

— Panie Piperment, w tem niema nic nowego. Przypomnij pan sobie arystokrację. Czem się różni arystokracja od reszty ludzkości? Tem, że ona właśnie nic nie robi, a na nią pracują inni.

— Panie Futermuter, pan troche przesadza.

— Ani trochę, panie Piperment. Czasy się zmieniły i powstała inna arystokracja. Na tamtą arystokrację ludzie pracowali, bo się jej bali. Na tę nową też pracują, bo się jej boją, panie Piperment.

— Tamta dawniejsza arystokracja miała herby, panie Futermuter, Jelita, Półkozic, Kórczak, Rogala.

— Ta nowa arystokracja też, panie Piperment, ma jelita, które chce napchać kurczakiem, półkozicem, rogalem.

— W każdym razie mnie pan denerwujesz, panie Futermuter. Ja rozumiem, że może być nowa arystokracja, że po burbońskiej przyszła, i dołączyła się do tamtej: arystokracja bonapartystowska, ale to nie to samo, co pan mówisz, panie Futermuter. Ludzie Bonapartego, korzystając z okoliczności, dorobili się majątków, otrzymali tytuły.

— Zupełnie to samo jest teraz, panie Piperment. Nowe sankiloty, korzystając z okoliczności, robią karjerę, zgodną z duchami czasu.

— Tamci, Bonapartego, wyszli z armji, panie Futermuter, i dzielnie się bili.

— A ci tworzą armję dobrze zorganizowaną w formacje żelaznych pretensji do społeczeństwa i też umieją bić, jak się patrzy.

— Pan się zapominasz, panie Futermuter. Pan mówisz o łobuzach, nie o szanownych panach bezroboczych. Co pan sobie wogóle myślisz? Że co? Pan jesteś w tej chwili od dłuższego czasu bezroboczy, ale do bicia jeszcze panu daleko, chociaż snob to pan jesteś.

— Nie tykajmy osobistości. Ja nie mówię o panu, pan nie mów o mnie. Rozmawiajmy, jak w Wersalu Clemenceau z Hindenburgiem, objektywnie, abstrakcyjnie. Poco psuć przyjemny nastrój wzajemnej życzliwości? Ja jestem za systemem wielkiego Benito: za nicnierobienie nicniepłacenie. Bierzesz mało, rób mało, ale jeżeli bierzesz coskolwiek, rób coskolwiek.

— Masz pan rację, panie Futermuter. Przychylam się do pańskie opinje. Za pieniądze, które wypłacamy bezroboczym, oni nam się nie odwdzięczają najmniejszą tandetą. Poprostu nic. Ale ja panu powiem, że władze nie umieją szukać składek na fundusz bezroboczy. Czy to ja powinienem płacić podatek od gazu, bez którego nie mam śniadania? Na bezroboczych powinien być podatek od przyjemności.

— Od jakie przyjemności?

— Od polowania na kuropatwy, na kaczki, na zające, na dropie, czy ja wiem! Od każdego wystrzału dziesięć procent. Kto idzie na polowanie, ten już napewno popełnia zbytek.

— Owszem. Ja nie poluje. Ale ja znam jednego, co jest myśliwy. On powiada, że nie dośpi, nie dożre, nie dokocha, a dopoluje. Że niema większej przyjemności, jak dubeltówka i pies.

— Pies! Potroić, popięcić podatek od psy! W dzisiejsze czasy, kiedy ludzie nie mają co jeść, utrzymywanie psa jest zbytek dalekonośny. Czekaj pan! mam jeszcze jedne nowelizacje do prawa podatkowego: podatek od kokoty!

— Nie przejdzie. To jest przedmiot najpierwszej potrzeby.

— Co pan wygadujesz, panie Futermuter?

— Już ja wiem, co mówię, kochany panie Piperment. Rząd na to nie pójdzie, rząd zna potrzeby szerokiej ludności. I magistrat na tym punkcie nie jest w ciemię bity. On wie, że dziewczę ulicy to nie kinematograf. I prasa rozumie, co to jest „kobieta, która idzie".

— A propos, właśnie! Że wszystkie odpowiedzi na tę palącą ankietę najmądrzejsza była wierszowana, co do przychodzenia na świat bez pieniędzy. Poeta jest przeciwny. Jeżeli nie masz za co, to się nie urodź. Umiem na pamięć zakończenie tego soneta:

Ale rozum jednak nakazuje
Liczyć się z rozmnażania zapędem,
Gdy ktoś na siłach się nie czuje
Pod zabezpieczenia i wychowania
względem.

— Ślicznie, panie Piperment! Cały kryzys gospodarczy razem z zagadnieniem bezrobocia rozwiązuje ostatni dwuwiersz:

— Panie Futermuter, wszystko zło idzie z tego, że zamało żyjemy prawdziwą poezją.

— Panie Piperment, mówisz pan, jak prosto z nut. Trzeba dopuścić poetów do głosu. Żeby teraz w Niemczech rządził Heine zamiast Hitlera, pan wiesz, że tamby teraz było żyć, nie umierać?!

— Panie Futermuter, napijmy się jeszcze po mazagranu, każdy na swój rachunek.

— Dziękuję panu, panie Piperment, odeszło mnie pragnienie.

Wacław Grubiński

ŻYCIE RUSI PODKARPACKIEJ



Transport mleka owczego z górskich pastwisk



Przemysł ludowy: Młyn walcujący sukno z wełny owiec, w wielkich ilościach hodowanych



Wielkanocne święcenie jadła



Wędrowny księgarz sprzedaje modlitewniki



Ręczne mielenie kukurydzy na wypiek chleba



TYDZIEŃ ŚWIATA

(k) Najpotężniejszy amerykański koncern prasowy (Hearst) rozpoczął kampanję przeciw obecnej organizacji posterunków dyplomatycznych Stanów Zjednoczonych. Dzienniki Hearsta dowodzą, że ambasady i poselstwa w dzisiejszym składzie drogo kosztują, a nie przynoszą prawie żadnych korzyści. Pp. ambasadorowie i posłowie ulegają szybko snobizmowi towarzyskiemu, trawią nieproduktywnie czas w salonach arystokracji i wielkiej finansjery, gdy dziś o losach polityki decydują zgoła inne sfery. Nierównie więcej pożytecznymi od tego typu dyplomatów byliby zwykli konsulowie, zazwyczaj wykształceni fachowo i inteligentniejsi.

Zdaje się, że te uwagi dałyby się zastosować w niemałej mierze i do naszego personelu dyplomatycznego, który również obciąża poważnie nasz nieszczęśliwy budżet, a zatrudnia przeważnie hrabiów, półhrabiów i ćwierć-hrabiów, którzy politykę umieją uprawiać tylko na dobrze wywoskowanych posadzkach salonów. Ileż to egzotycznych placówek dyplomatycznych możnaby zastąpić tyle tańszemi i bardziej zbliżonemi do realnych zagadnień — konsulatami.

. . . .

(Old) Wśród zaproszonych na niedawne manewry Reichswehry osobistości cudzoziemskich najbardziej był honorowany dobry nasz znajomy z 1920 roku, obecny zastępca komisarza ludowego do spraw wojny i faktyczny szef sztabu generalnego Z. S. S. R., Michaił Tuchaczewskij. Na bankietach sadzano go najwyżej, po prawej stronie gospodarza, do niego zwracano wszystkie toasty, a panie frankfurckie rozpływały się z rozkoszy, rozmawiając z wojakiem bolszewickim.

Włada on zresztą świetnie językiem niemieckim i nie po raz pierwszy gościł w tym kraju. Zapoznanie się nastąpiło coprawda w przykrych okolicznościach, podczas wojny, gdy młody, elegancki podporucznik leib-gwardji jego cesarskiej mości Siemionowskiego pułku piechoty dostał się w 1915 roku, po paru zaledwie miesiącach pobytu na froncie, do niewoli niemieckiej.

Więziony kolejno w obozach jeńców i w fortecach Stralsundu, Kistrzynia i Ingolstadtu, młodziutki ten, wesoły i pełen fantazji arystokrata zyskał powszechną sympatję kolegów - jeńców z armji sprzymierzonych, chociaż raził ich zoologicznym antysemityzmem i przywiązywaniem zbyt wielkiej wagi do heraldyki. Zato pod innemi względami Misza był postępowcem: w sztuce hołdował futuryzmowi, w miłości — wolnym stosunkom, ateizm doprowadzał do absurdu, a nawet dla oryginalności zaczął propagować kult bożka Pieruna, którego posążek wyciął z tektury.

W forcie IX Ingolstadtu, gdzie trzymano oficerów aljanckich, którzy próbowali ucieczki, zapadło postanowienie nieoddawania honorów wojskowych oficerom niemieckim bez względu na rangę. Pewnego dnia ppor. Tuchaczewskij spotkał na dziedzińcu fortecznym generała Petersa, komendanta placu. Naturalnie nie zasalutował i przeszedł najspokojniej, trzymając ręce w kieszeni. Generał wpadł w pasję:

— Jak pan śmiesz tak się zachowywać! Pan mi drogo za to zapłaci! — krzyczał na całe podwórze.

— Ile marek? — spytał z obojętną miną Tuchaczewskij.

Wreszcie arystokratycznemu oficerowi gwardji cesarskiej udaje się uciec z niewoli w chwili, gdy wybucha w Rosji rewolucja bolszewicka. Tuchaczewskij szybko orjentuje się w sytuacji, zgłasza swe usługi Trockiemu, staje się jego prawą ręką, walczy z oddziałami czeskiemi, otrzymuje dowództwo korpusu, ścigającego Denikina, potem komendę armji przeciw Kołczakowi, wreszcie zostaje głównodowodzącym na froncie polskim.

Tę szybką karjerę wojskową — trzeba przyznać — nie zawdzięcza przywiązaniu do idei komunistycznej. Mało go ona obchodzi. Jest typowym imperjalistą rosyjskim, pragnącym panowanie Moskwy rozpostrzec jaknajszerzej:

— Dla mnie wszystko jedno — powiada, — czy do Carogrodu wejdziemy z orłem dwugłowym czy z gwiazdą pięcioramienną.

Tego Napoleona bolszewickiego podejmowano podczas manewrów nad Odrą, jakby prawdziwego generała Bonaparte. Nie żywiono urazy za krnąbrność i ucieczkę dawnego podporucznika gwardji. A jeśli przypadkiem spotkał go stary generał Peters z Ingolstadtu, z pewnością sam pierwszy zasalutował, a może nawet stanął na baczność przed byłym jeńcem IX-go fortu. I chełpił się tą znajomością...

. . . .

(Old) W tych dniach w Wendover, w pobliżu znanej rezydencji Mac Donalda — Chequers, odbył



ŚLUB CÓRKI MAC DONALDA, MISS JOAN Z DR. A. MAC KINNON'EM



MAKSYM GORKIJ Z BALKONU PAŁACU RIABUSZYŃSKIEGO PRZYGLĄDA SIĘ MANIFESTUJĄCYM NA JEGO CZEŚĆ TŁUMOM

się ślub drugiej córki premjera angielskiego, uroczej miss Joan z dr. Alastair Mac Kinnon'em, potomkiem starej rodziny szkockiej. W uroczystości wzięli udział: lord-kanclerz Sankey, minister dominjów Thomas, minister pracy sir Henry Betteron i wielu innych przedstawicieli dyplomacji, sfer parlamentarnych i rządowych, zaprzyjaźnionych z rodziną Mac Donaldów.

Do Chequers napłynęło tysiące depesz gratulacyjnych, między innemi od króla Jerzego V, od Herriot'a, Mussoliniego i t. d. Nigdy jeszcze poczta miejscowa nie była tak zapracowana.

Ale nie to stanowiło przedmiot powszechnych rozmów na weselu. Sensacją dnia było, że w przysiędze małżeńskiej, składanej przez miss Joan Macdonald, pominięto przyrzeczenie posłuszeństwa.

— Dobrze jeszcze, że nie włączono tego nakazu do formuły, którą miał wypowiedzieć młody małżonek córki premjera — żartowano w orszaku. — Czasy są feministyczne i dyktatorskie.

. . . .

(N.) Komunistyczna Moskwa uroczyście obchodziła jubileusz czterdziestolecia pracy literackiej Maksyma Gorkij'ego. Znany jest u nas ten powieściopisarz i dramaturg. Jego ponury dramat z życia „bosiaków" p. t. „Na dnie" obiegł wszystkie sceny polskie. Przełożono też najwybitniejsze jego powieści, jak „Matka", nowele, jak „Makar Czudra".

Maksym Gorkij jest obecnie człowiekiem siedemdziesięcioletnim. Stale przebywa przeważnie na Capri. W rozkosznej willi, niedostępnej dla zwykłych śmiertelników, prowadzi on życie zamknięte, pilnie strzeżony przez specjalnych mandatarjuszy Moskwy. Dostęp do Gorkij'ego jest kontrolowany przez „sekretarza", p. Kriuczkowa, — jak się okazuje — agenta „Czeki".

W Moskwie władze komunistyczne oddały do dyspozycji jubilata komfortowy pałac Riabuszyńskiego. Maksym Gorkij nie jest wzięty pod strychulec „pajka". Władze sowieckie dbają, by przyjaciel R. Roland'a, Barbusse'a, Kellermanna, Uptona Sinclair'a miał zaopatrzony stół nietylko w niezbędne produkty. Dzieje się to zawsze, ilekroć Gorkij wraca do Rosji. Jest on „wybrańcem" w Sowietach.

Karjera życiowa tego pisarza jest rzeczywiście niezwykła. Nazywa się właściwie Pieszkow. Urodził się jako syn nędzarzy w Niżnim-Nowgorodzie, który obecnie przemianowano na „Gorod Gorkawo". Był w terminie u szewca, krawca, pracował za kuchcika na statkach, dłużej próbował ustalić swój los, jako piekarz. Wielokrotnie wędrował w pogoni za zarobkiem na Kaukaz, Krym, do Bessarabji. Zbawienną rolę w jego życiu odegrał znany pisarz rosyjski Korolenko. Jego poparcie otworzyło mu drogę do sławy.

Blizki wywrotowym stronnictwom rosyjskim przed wojną, przyjaciel Lenina, zawsze szedł po linji ideologicznej rewolucyjnej. „Syn proletarjatu", czczony jest obecnie przez komunistów w sposób jaskrawo-propagandowy! Otrzymał nawet „order Lenina". Uważa się przytem za „żołnierza rewolucji", choć na zachodzie agituje na rzecz pacyfizmu.

Trudno doszukać się w Gorkim prostych, konsekwentnych, socjalistycznych wskazań. Jego życie również jest zadziwiająco kontrastowe. Wróg burżuazji i kapitalizmu, uważa za możliwe sycić się wszystkiemi dobrodziejstwami i wygodami, gdy proletarjat jego ojczyzny przymiera głodem.

. . . .

(go) Nie, nie jesteśmy jeszcze państwowo wyrobionym narodem.

Pamiętam — było to przed wojną, w roku 1910 czy 11-ym, — znalazłem się przejazdem w Dreznie. Niemcy wówczas parły ku panowaniu na morzu. Chcieli dorównać Anglji. Mieli jakie takie kolonje i marzyli o światowej ekspansji.

Von Tirpitz — admirał, późniejszy dowódca floty, miał wystąpić na publicznem zebraniu, rodzaju akademji, poświęconej sprawie floty. Dzięki tylko wybitnej protekcji udało mi się dostać na salę. Byłem świadkiem takiego szału patrjotycznego, takiego entuzjazmu parotysiącznego tłumu, rozsadzającego mury olbrzymiej hali, że o mało sam nie zaraziłem się ogólną gorączką i nie krzyknąłem: — „Hoch, deutsche Marine". — Była to nie akademja, ale manifestacja narodowa, sypały się składki, a na ulicy czekał drugi tłum, który nie zmieścił się w budynku. I tam był tłok koło puszek na budowę floty narodowej...

Gdy przeczytałem przed kilku dniami, że prezes naszej Ligi Morskiej, jenerał Gustaw Orlicz-Dreszer, jeden z dzielniejszych naszych wodzów i niezmordowany propagator polskiej ekspansji morskiej, będzie miał w niedzielę o 12-ej odczyt „O Polsce na morzu", pomny na to, co widziałem niegdyś w Dreznie, kupiłem zawczasu bilet w cenie zaiste niewysokiej nawet na kryzys, bo za 1 zł. i 10 gr. i już o 11-ej szedłem do Colosseum, spodziewając się szturmu do sali.

Aha!

Godzina 12-ta: na widowni 200 osób. W „Colosseum" tego nie znać. Godzina 12-ta minut 30: może 500 osób. I już nikt więcej nie wchodzi. Tłumik szary, trochę młodzieży. Znam pół Warszawy, a tu tylko mam trzy osoby znajome, należące do jednej rodziny.

Jenerał wygłasza świetny odczyt o znaczeniu ekspansji morskiej, o naszych błędach historycznych w tym kierunku, wszechstronnie broni sprawy Pomorza, pokazuje plastyczne wykresy, przytacza cyfry naszych obrotów handlowych drogą morską, z właściwym sobie zapałem i wiarą argumentuje.

Od czasu do czasu nieśmiałe oklaski — i już.

Z takim entuzjazmem i z tak licznym „tłumem", z taką liczbą zwolenników polskiej polityki morskiej i z tylu jej pieniężnymi wspieraczami na oceany nie wyjedziemy.

Nie! Nie jesteśmy jeszcze państwowo wyrobionym narodem.

. . . .

(Wig) Do nienormalnych stosunków prasowych w Polsce przybyły nowe przyczynki. Znikł z widowni popularny „Kurjer Czerwony", prototyp warszawskiej prasy bulwarowej, cieszący się niegdyś tak wielkiem powodzeniem, że założycieli swych uczynił w ciągu kilku lat miljonerami, posiadaczami największych oficyn wydawniczych, potentatami prasowymi, stojącymi na czele całego kompleksu pism. I otóż ten protoplasta wielkiego konsorcjum p. n. „Prasa Polska" po dziesięciu latach niebywałego w dziejach dziennikarstwa sukcesu ginie, zostaje wchłonięty, pożarty przez dziesięciogroszowego swego potomka.

Skutki kryzysu, zubożenia mas, zmiany nastrojów politycznych — spróbuje ktoś objaśniać.

Nie, to tylko jeden z objawów nieustabilizowanych naszych stosunków prasowych, gdzie ciągle zjawiają się nowe pisma i zamierają.

A oto drugi dowód: przez długi czas nie było w Warszawie taniego pisemka popołudniowego o lewicowem zabarwieniu. Nagle w tym samym tygodniu powstają dwa takie dzienniczki dziesięciogroszowe: oba chcą bronić interesów ludzi pracy, oba zapewniają o swej niezależności, oba odwołują się do najszerszych mas czytelników, ale oba też drukują bezwartościowe powieścidła kryminalne à la „Zamordowany trup" (!); kubek w kubek naśladują istniejące dziesięciogroszówki zarówno w układzie, w doborze materjału, jak i w ankietach na mądry temat „Co jutro?" lub w konkursach na utwór „satyryczny".

Oba też zapewniają z emfazą: „Kup jeden numer, a kupisz następne".

W istocie zaś, kto raz kupił, ten już nazajutrz napewno nie kupi.

. . . .

(M.) W urzędzie podatkowym niema ścisku. Stoi kilku interesantów u okienka z nakazami płatniczemi. Urzędniczka sprawdza dokumenty, wypisuje kwity i przekazuje papiery do kasy. Nie odbywa się to łatwo. Stale powtarza się charakterystyczna scenka:

— Za niedotrzymanie terminu musi pan zapłacić odsetki.

— Nie mam. Mogę zapłacić tylko wykazaną sumę.

— Ściągnie z pana egzekutor.

— Niech ściąga. Wogóle z temi podatkami — to teraz jest jakieś nieporozumienie. Zarobki zmniejszyły się, a wszystkie podatki wzrosły. Proszę, niech pani powie, komu w roku bieżącym wzrosły dochody?

— Nie dotrzymał pan jednak terminu.

— Prawda. Niech pani pokaże mi takie przedsiębiorstwo, w którem terminowo wywiązują się z wypłat? Mnie nikt nie dotrzymuje terminów, a urząd podatkowy żąda, bym ja ściśle wypełniał swoje obowiązki. Trudno jest płacić za przetrzymanie, gdy wogóle nie starcza środków na płacenie!

Urzędniczka już jest podekscytowana:

— Ach, proszę pana. Płaci pan czy nie?

— Płacę sumę wykazaną na blankiecie.

— Bez odsetek nie mogę przyjąć. Chyba, że wystawię kwit à conto.

— Niech będzie à conto, lecz ściśle to, co jest wykazane w nakazie płatniczym.

Interesant wpłaca à conto. Za chwilę taka sama scenka powtarza się z drobnemi warjantami. Urzędniczka tłomaczy, że nie może odstąpić od rachowania odsetek, gdyż takie jest prawo.

Najgorzej na tem wychodzi urząd podatkowy. Zdarza się bowiem, że przestrzegając ściśle prawa, często nie otrzymuje nietylko procentów, ale i podatku. Egzekutorzy już przestali budzić grozę. Ludność przyzwyczaiła się do nich, jak i... do niepunktualności większości naszych przedsiębiorstw we wszystkich wypłatach.

Rzeczywiście, jest to sprawa bardzo skomplikowana. I jakże ma być punktualny w uiszczaniu podatku przeciętny obywatel, skoro sam nie otrzymuje pieniędzy w terminie?

BUŁGARSKA ARTYSTKA-MALARKA W WARSZAWIE

Zaszczytnie znana pastelistka bułgarska, p. Ruska Marinowa, przybyła do Warszawy.

Celem jej przyjazdu jest zwiedzenie Polski, jak również wykonanie kilku portretów od dawna zamówionych.

P. Marinowa, jako portrecistka, zdobyła sobie nazwisko w całej Europie. Wystawiała swe prace w Pradze Czeskiej, następnie przez trzy lata pracowała w Paryżu, gdzie obrazy jej stale znajdowały miejsce w dorocznym Wielkim Salonie.

Pozatem p. Marinowa urządziła w Federacji artystów francuskich własną wystawę, która spotkała się z całkowitem uznaniem krytyki i publiczności.

W Sofji każda jej wystawa jest zdarzeniem artystycznem, a o popularności tej uroczej artystki świadczy, że nawet w dobie obecnego kryzysu pracuje prawie bez przerwy, robiąc portrety nietylko w swojej ojczyźnie.



PORTRET P. ADAMOWEJ TARNOWSKIEJ, MAŁŻONKI POSŁA POLSKIEGO W SOFJI



AUTOPORTRET



PORTRET P. JANUSZOWEJ MAKARCZYK

CO CZYTAĆ?

„DZIENNIK" M. J. KASPROWICZOWEJ, „MOJE WSPOMNIENIA Z PLEBISCYTU NA WARMJI", „W SERCU SAHARY".

Marja Janowa Kasprowiczowa, druga żona twórcy „hymnów", notowała wrażenia swoje, myśli, doznania, odruchy, nie przypuszczając, iż dziennik ten znajdzie się kiedyś w rękach postronnego czytelnika. Współżycie z tak utalentowanym, znakomitym poetą, jak Kasprowicz, nastręczało wiele codziennych uwag, obserwacji, myślowych refleksji. Żona artysty słowa zapisywała zresztą w swoim djarjuszu i wrażenia z potocznego obcowania z wieloma ludźmi, spotykanymi w towarzyskiem życiu. Wypadki polityczne, wielka wojna, odsiecz Lwowa, konsolidowanie się państwa polskiego znajdują na kartach jej dziennika już to refleksy duchowego reagowania poety lub własne wynurzenia autorki. Dziennik ten był pisany po-rosyjsku w większej części. Janowa Kasprowiczowa jest bowiem rosjanką. Córka generała Bunina, wychowana w tradycji biurokratycznej i wojskowej rosyjskiej, spotkała we Włoszech starzejącego się już poetę i zainteresowała się nim. Nie rozumiała jeszcze jego płomiennej, poetyckiej wymowy, żywiołu bohaterskiego słowa, gdy podała ucho czarom jego pięknej, ludzkiej indywidualności. Jan Kasprowicz zniewalał prostotą, polotem, wdziękiem swojej osobowości.

„Dziennik" jego żony mówi nam wiele na ten temat, choć właściwie jest raczej odzwierciedleniem uwielbień artysty dla swojej młodej małżonki. Marja Bunin, jako rosjanka z krwi i tradycji kulturalnej, w środowisku polskiem nie wyzbyła się swoistych cech duchowych, aczkolwiek trzeba stwierdzić, iż wobec przybranej ojczyzny męża zachowywała się nietylko z lojalnością, ale i sentymentem. Szyła dla legjonistów bieliznę, współdziałała w różnych pracach obywatelskich.

„Dziennik" Marji Kasprowiczowej zawiera dużo informacji o pracach literackich, autora „Księgi Ubogich". Dla biografów będzie to duże ułatwienie. Skorzystać z niego mogą i psychologowie twórczości. Żona poety zanotowała, jak realizowały się jego pomysły. Ciekawe szczegóły, dotyczące „Marchołta", przekładów, będą miały wartość źródła. Źródłem dla biografów pozostaną stronice, opisujące stosunek jej do córek Janki i Hani, do Stanisławowej Przybyszewskiej, pierwszej żony twórcy „Mojej pieśni wieczornej".

Marja Kasprowiczowa kilkakrotnie zetknęła się z Żuławskim, Żeromskim, Staffem, Jarockim. Ślady tych spotkań znajdujemy w jej dzienniku. Najważniejsze jednak jest to, co zanotowała o własnym mężu. Słowa te kryją prawdę codziennego obcowania z niepospolitym poetą. Ta strona „dziennika" niewątpliwie zainteresuje kobiety.

Wartoby czemprędzej wydać i zakończenie, składające się z części „Bunt" oraz „Pojednanie".

Anna Łubieńska spisała swoje „wspomnienia z plebiscytu na Warmji". Mija lat dwanaście, gdy wskutek wadliwej organizacji przegraliśmy mazurską i warmijską spuściznę. Plebiscyt odbywał się w warunkach dla nas niemal tragicznych. Niemcy natomiast uruchomili wszystkie bogate swe zasoby do gwałtu włącznie, by nie oddać ziem należnych nam historycznie i etnograficznie. Wspomnienia p. Anny Łubieńskiej rzucają jaskrawy snop światła na niewspółmierny trud nasz i niemiecki. Teror nie znajdował należytego odparcia, a i pieniądze robiły wielkie spustoszenia. Artur Górski we wstępie pisze:

„Pracy wielkiej tych kilku kobiet polskich i ich wspaniałej odwadze oddajmy przy tej sposobności dług naszego wdzięcznego niezapomnianego i poczuciem naszej winy przejętego uznania".

Niewątpliwego uznania, dodajmy z naszej strony. Na plebiscycie warmijskim zasłużyły się działaczki nasze przy budzeniu i podtrzymywaniu polskości, duszonej tu wszystkiemi środkami państwowej przemocy niemieckiej.

Dzielność naszych niewiast jest rzeczą zwykłą. Oto p. Ludwika Ciechanowiecka, młoda, zdolna dziennikarka, zdobyła się na odwagę odbycia egzotycznej podróży w głąb Afryki, do tajemniczego Hoggaru. Wrażenia z tej podróży spisała w interesującej książce i wydała pt. „W sercu Sahary". Trzeba podziwiać fantazję i śmiałość jej „wycieczki" przez Algier, Mzad i Tidikelt. Była to jednak wyprawa, choć autorka z brawurą i humorem opisuje noclegi na pustyni w towarzystwie kilku mężczyzn, szoferów, i popsutego automobilu. P. Ciechanowiecka przy sposobności przypomina nam nazwiska kilku polaków, którzy i tu na Saharze zasłużyli się dobrze cywilizacji.

„W sercu Sahary" spotka się napewno z dużą poczytnością. Liczne ilustracje podnoszą zainteresowanie do tej niewieściej odważnej wyprawy w głąb czarnego lądu.

E. C.

Muzyka w świecie

Letnie miesiące przeszły w tym roku dla stolicy muzycznej świata, jaką jest Wiedeń, pod znakiem dwuch wielkich ewenementów: Międzynarodowego Konkursu śpiewaków i skrzypków, oraz Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Nowoczesnej.

Pierwszy zwłaszcza miał charakter absorbujący i pasjonujący całe miasto i licznych przybyszów, podobnie jak to było w Warszawie za pamiętnych dni konkursu Chopina.

42 kraje obesłały konkurs 500-set śpiewakami i 200-u skrzypkami! Na szczęście funkcjonował system przedkonkursowych eliminacji (który, nawiasem mówiąc, polecamy w przyszłości i naszym organizatorom konkursów).

13 komisji po 3 członków każda poddawało kandydata egzaminowi, orzekając o jego dopuszczeniu lub niedopuszczeniu do konkursu.

Popisy odbywały się w wielkich salach Musikverein'u lub Konzerthaus'u i były dwustopniowe, t. zn. że po pierwszej publicznej selekcji dopuszczano najlepszych do drugiej konkurencji ściślejszej.

Przewodniczył bardzo licznemu jury dyrektor opery Krauss. M. in. członkami jego byli: Jeritza, Selma Kurz, Kubelik, Enesco, Różycki, Fitelberg, Casella, Kussewicki, Korngold. Polska reprezentowana była bardzo licznie (około 80 osób) i odniosła jeden z większych sukcesów, przyznano nam bowiem 4 nagrody na 19 — w tem pierwszą de facto (bo nominalna I-a nie została przyznana nikomu). Otrzymał ją lwowianin, p. Edward Bender (bas) do połowy z p. Cloe Elmo z Włoch. Drugą nagrodę otrzymał p. Jerzy Czaplicki (baryton). Wielkie medale otrzymały panie Bożena Jarońska z Warszawy i Marja Pomorska z Poznania.

Dyplomy otrzymali pp.: Tysiak, W. Skwarczewska, J. Kurzbara, J. Gawroński, J. Godlewska, J. Ziółkowska, K. Żelichowski, C. Nadel-Nadi, W. Kamińska, G. Prokopieni, N. Jawetz - Kannerowa i S. Kniaginin.

Pierwszą nagrodę za grę na skrzypcach otrzymali Karol Szenassy (węgier) i Gioconda de Vito (włoszka).

Dyplomy zaś — polacy pp. Bronisław Gimpel i Roman Totenberg, abs. Wyższej Szkoły muz. im. Chopina.

*

W dziesiątą rocznicę założenia Międzynarodowego Tow. Muzyki współczesnej odbył się również dziesiąty z rzędu „Festival" Muzyki Współczesnej.

Dotychczas Festivale te urządzane były: w Salzburgu, Pradze, Wenecji, Siennie, Frankfurcie, Zurichu, Genewie, Liége i Oxfordzie. Następne w kolejności mają być: w Amsterdamie, Florencji, Warszawie (1935 r.), Paryżu.

Zgodnie ze statutem, międzynarodowe jury wybiera corocznie z pośród nadesłanych kompozycji, kwalifikowanych uprzednio przez poszczególne narodowe instancje, najwybitniejsze, mające być wykonanemi w czasie Festivalu.

W tym roku dopuszczono 2 polskie kompozycje, a to: Bolesława Wojtowicza kantatę w 5-ciu częściach p. t. „Pieśni dziecięce na chwałę Boga i słońca" — i Jerzego Fitelberga koncert skrzypcowy w jednej części. — Pierwszą wykonali wiedeńscy „chłopcy śpiewacy" pod dyrekcją p. Mateusza Glińskiego; drugą — p. Stefan Frenkel pod dyrekcją p. Grzegorza Fitelbergą, ojca kompozytora. Obydwa utwory miały duże powodzenie.

Z wykonanych zagranicznych utworów wyróżniły się: „Pieśni katalońskie" na sopran i orkiestrę R. Gerharda (hiszpanja), koncert skrzypcowy K. Haby'ego (Czechy) i fortepianowy M. Łopatnikowa. „Bagatelle" na kwartet smyczkowy i fortepian J. Françaix (Francja). Sonata fortepianowa J. Schlossa (Austrja). Trio smyczkowe L. Spinnera (Austrja). Pieśni „Durch die Nacht" E. Krzencka (Austrja).

Z oper wystawiono: „Muzykanta" Bittnera, „Bakchantki" — Wellesza i „Wozzeck" Albana Serga.

W związku z Festivalem odbył się cały szereg uroczystości, m. in. wykonanie nieznanych dzieł Haydna w Eisenstadt, miasteczku, gdzie znajduje się grób mistrza.

M. Kl.

Moda kryzysu czy kryzys w modzie?

(Ankieta przedsezonowa)

Ustawiczne biadanie na kryzys przeszło w stan chroniczny. Ciągle się o tem mówi i pisze aż do znudzenia. Niema na całym świecie zakątka, z wyjątkiem może wysp Tonaga na oceanie Spokojnym, gdzieby nie odczuto wstrząsów, wywołanych zjawieniem się potwora, zwanego kryzysem gospodarczym. Ślady jego łap widoczne są we wszystkich niemal dziedzinach życia. Nie łatwo się otrząsnąć i uwolnić z pod jego jarzma. A jednak powoli i konsekwentnie, tu i ówdzie, zaczyna się nieśmiało bąkać o pewnem odprężeniu, horyzont zaczyna się przejaśniać, kto wie, może już niedługo odetchniemy z ulgą i psychika zmęczonego człowieka ulegnie przeobrażeniom.

Chcąc zbadać skutki, jakie kryzys wyrządził w dziedzinie mody, tej piance życia, redakcja „Świata" postanowiła zasięgnąć wiadomości w sferach bezpośrednio z modą związanych.

Oto kilka uwag, jakie wypowiedzieli właściciele znanych firm warszawskich na temat kryzysu w ich branży.

* * *

Skierowaliśmy się przedewszystkiem do starej i zasłużonej firmy kupieckiej

„BOGUSŁAW HERSE".

Szef firmy w krótkich lecz trafnych słowach scharakteryzował obecny nastrój w dziedzinie mody.

— Podczas gdy dawniej kierowaliśmy się zasadą: „najwyższy gatunek we wszystkich działach", obecnie, naskutek zmienionych warunków, zachowując najwyższy poziom, — rozszerzamy krąg naszych klijentów przez wprowadzenie gatunków średnich, z pominięciem jednak poślednich, do których firma nie obniża się. W rezultacie udało się osiągnąć znaczną rozpiętość cen jedynie drogą wewnętrznej organizacji i dążeniem do rozłożenia kosztów na duże obroty, na czem bynajmniej nie ucierpiała nasza klijentela. Modele tego sezonu zostały wybrane starannie, z myślą, aby były zarówno eleganckie, jak i „facile à mettre", a co najważniejsze, aby się szybko nie opatrzyły, co zawsze bywa cechą rzeczy nazbyt ekscentrycznych. Nowoczesna pani stała się praktyczną i, wydając pieniądze, chce mieć naprawdę pełną satysfakcję ze swego sprawunku. Linja obecnej mody, pełna wykwintnej prostoty, ułatwiła nam to zadanie.

— Czy spopularyzowanie firmy Panów nie pociągnęło za sobą utraty dawnej wyborowej klijenteli?

— Mimo zmienionych warunków, dawniejsza klijentela pozostała nam wierna. Wychodzi ona z założenia, że lepiej jest sprawić jedną suknię prawdziwie dobrą zamiast czterech średnich. Pozatem zdobyliśmy nową klijentelę w dziale gotowej konfekcji, który się w ostatnich czasach coraz więcej rozwija, dzięki rewelacyjnie niskim cenom, dostępnym nawet dla osób najskromniejszych.

— Jakie są widoki na najbliższą przyszłość w panów dziedzinie?

— Prognostyki naogół są raczej dobre w porównaniu z poprzednim sezonem. Znudzone i zmęczone odmawianiem sobie sprawiania nowych i modnych rzeczy, nasze panie zaczynają się buntować, skutkiem czego można zaobserwować pewien wzrost zainteresowania, który jest dobrą wróżbą.

* * *

Kierowniczka działu konfekcji firmy

„BRACIA JABŁKOWSCY"

oświadcza nam:

— Moda idzie przebojem; niezależnie od warunków, każda kobieta chce być modnie i gustownie ubrana. Zadaniem naszej firmy jest zadowolić wszystkie gusta i wszystkie kieszenie. Asortowanie naszych towarów idzie po linji pewnego wykwintu materjałów, które poprzedzają poprawę ogólnej konjunktury.

— Jakie rzeczy mają obecnie największe powodzenie?

— Przedewszystkiem przedmioty praktyczne, codziennego użytku, a więc sukienki z doskonałej wełny o linjach prostych, a wytwornych, jakie obecna moda faworyzuje. Ceny tych sukien są niezwykle umiarkowane.

— Z jakim rodzajem klijentów mają państwo najwięcej do czynienia?

— Główną naszą klijentelę stanowi inteligencja pracująca, która szuka rzeczy tanich a dobrych, pozatem wzrasta stale zapotrzebowanie prowincji, która pod względem gustu i szyku pragnie się upodobnić do stolicy. Życie samo, które wymaga pewnych rozrywek i zabaw towarzyskich, jest wielkim naszym sprzymierzeńcem.

— Jak zapowiada się obecny sezon? — pytamy jeszcze. — Czy nienormalnie długo trwające lato nie opóźnia zakupów jesiennych?

— Oczywiście, można zauważyć pewne wahania. Każdy dzień chłodniejszy zaznacza się większą frekwencją w naszych magazynach. Z dnia na dzień wyczuwa się zwiększenie siły kupczej i jest nadzieja, że stopniowo nastąpi poprawa.

— Oby, najwyższy już czas.

* * *

P. JULJA UJEJSKA,

właścicielka znanego magazynu futer, dzieli się z nami swemi spostrzeżeniami, noszącemi cechy optymistyczne.

— Wielce pocieszającym objawem, znamionującym poprawę konjunktur, jest zwiększająca się w ostatnich czasach chęć nabywania futer za gotówkę. Obrót wekslami, tak rozpanoszony do niedawna, zaczyna zwolna tracić na sile i tem samem wzajemny stosunek między klijentem a kupcem kształtuje się solidniej i jaśniej, niż przed niedawnym czasem. Katastrofalny spadek cen na rynkach, spowodowany bankructwem światowych firm, jaki miał miejsce zeszłego roku, powoli ustępuje i obecnie zauważyć się daje pewna tendencja do zwyżkowania cen na niektóre futra, co jest zapowiedzią pewnego uzdrowienia stosunków handlowych.

— Na skutek fatalnych konjunktur na rynkach świata, które — rzecz prosta — dotyczyły i rynków polskich, futra, zakupione w zeszłym roku na wiosnę, traciły z każdym miesiącem na swej pierwotnej cenie i wkońcu zachodziła konieczność wyzbywania się ich z wielką stratą. Obecnie sezon zapowiada się nadspodziewanie dobrze. Jak dotychczas, w ciągu września ilość sprzedanych futer przewyższa wielokrotnie ilość sprzedaną we wrześniu ubiegłego roku.

— Czy krajowa produkcja w tej specjalności robi postępy?

— Produkcja polska, zwłaszcza farbowanie i wyprawa skór, stoi obecnie na wysokim poziomie, co wpływa dodatnio na zmniejszenie się importu skór zagranicznych.

Szczególnie skóry źrebiąt, całkowicie wyprodukowane w kraju, śmiało rywalizować mogą z zagranicznemi. Popyt na futra solidne i praktyczne, jako to karakuły, źrebaki i t. p., zwiększa się stale, natomiast futra luksusowe, brajtszwance, nie mówiąc już o nurkach i sobolach, znajdują coraz mniej nabywców.

— Jaki rodzaj klijenteli obecnie przeważa?

— Rekrutuje się ona z różnych sfer: urzędniczych, nauczycielskich, z wolnych zawodów. Wiele osób traktuje nabycie futra, poza względami praktycznemi i estetycznemi, jako pewną lokatę kapitału. Nie mogę narzekać — kończy z miłym uśmiechem p. Ujejska.

* * *

P. H. Zmigryderowa, współwłaścicielka znanej firmy

„GUSTAW ZMIGRYDER",

twierdzi, że kryzys gospodarczy odzwierciedlił się również w dziedzinie stroju kobiecego. Magazyny, chcące utrzymać się na pewnym poziomie, mają obecnie zadanie niesłychanie trudne.

— Czy nie możnaby się obejść całkowicie bez sprowadzania kosztownych modeli z zagranicy?

— Suknia paryska nie przestanie być magnesem dla każdej dobrze ubierającej się kobiety. Do obniżenia cen przyczyniło się jednak podniesienie poziomu produkcji krajowej materjałów jedwabnych i wełnianych. Jeśli Paryż lansuje jakiś nowy gatunek materjału, to w przeciągu miesiąca rzuci na rynek tę samą tkaninę Łódź i Bielsk. Wobec tego nawet najwybredniejsze klijentki zadawalniają się materjałami krajowemi i nie domagają się francuskich.

— Czemu, zdaniem pani, należy przypisać, że mimo kryzysu, widzi się obecnie bardzo wiele kobiet ubranych dużo lepiej, niż za dawnych czasów?

— Dodatni ten objaw zawdzięczamy t. zw. „taniej konfekcji, która w ostatnich czasach zrobiła szalony krok naprzód. Pozostała jednak cała sfera kobiet o wyrafinowanym smaku, która reaguje na kryzys nieco inaczej. Przekłada ona jakość nad ilość. Rozporządzając zmniejszonemi budżetami, panie, które dawniej sprawiały 3 tualety w sezonie, kupują obecnie jedną, ale ta jedna musi mieć piętno *haute couture*, czyli, mówiąc inaczej, musi być uszyta w pierwszorzędnym magazynie podług najświeższego modelu.

— A jak się zapowiada sezon jesienny?

— Jak dotychczas, daje się zauważyć wzmożenie pewnego zainteresowania i ruchu, który pozwala nam z optymizmem patrzeć w przyszłość. Czy jest to odprężenie czy też zmęczenie naszych pań ciągłem odmawianiem sobie nieodzownych dla obramowania ich kobiecości przedmiotów — trudno jeszcze orzec. Piękna pani może jeden sezon obejść się bez nowej sukni czy palta, może nawet i drugi, ale w trzecim już nie wytrzyma...

— Argument istotnie przekonywujący. A jak się ustosunkowali do mody ludzie prawdziwie bogaci, którym względnie kryzys dał się mało we znaki?

— Sfera ta tylko przez nakaz ogólnego „nie wypada" ograniczyła swoje wydatki. Obecnie można zauważyć, że panie, należące do tej sfery, wyłamały się z manji oszczędzania. Jest także kategorja klijentek, które z racji stanowisk, zajmowanych przez mężów, biorą udział w oficjalnych przyjęciach reprezentacyjnych, ergo muszą być dobrze ubrane. Wkońcu jest jeszcze trzecia kategorja pań, które właściwie nie mogą, ale zawsze wszystko mają najnowsze i najpiękniejsze. Z tych trzech kategorji składa się obecnie klijentela magazynów i, proszę mi wierzyć, że nie jest to mała ilość.

* * *

— Czyżby ustalona sława pięknie obutych nóżek warszawianek była zachwiana wpływem kryzysu? — zagadnęłam na wstępie, wchodząc do magazynu luksusowego obuwia

pod firmą JĘDRZEJEWSKI.

— I tak i nie. Wprawdzie szczodra natura, na którą kryzys na szczęście nie ma żadnego wpływu, nie poskąpiła naszym paniom swych darów w postaci ładnie uformowanych nóg, ale niestety, coraz rzadziej widuje się buciki, któreby swoją wykwintną robotą umiały podkreślić i uwydatnić ten przyrodzony dar.

— Co zdaniem pana jest powodem tego objawu?

— Przedewszystkiem ogólne zubożenie. Wprawdzie buciki, które, dwa lata temu kosztowały 120 zł., obecnie sprzedaje się za 75 zł., ale i na tę sumę niewiele warszawianek może sobie pozwolić. Ruch maleje i, jak dotychczas, nie widzimy żadnej poprawy.

— A teraz, z nastaniem sezonu jesiennego, czy nie dostrzega pan poprawy?

— Jesień obecna, te piękne ciepłe dnie, które wszyscy błogosławią, dla szewców jest strasznym zawodem. Klijentela donasza buciki, sprawione na wiosnę, nie śpieszy się z kupnem nowych, a potem przyjdą dni słotne, śnieg, nasze panie będą chodziły w botach i sezon zupełnie stracony.

— Ależ nie można mieć tak czarnych myśli! Czyż pan nie zna warszawianek? Zobaczy pan, że wkrótce jedna za drugą zaczną się schodzić i dopytywać o nowości, których tak wiele zapowiada obecna moda paryska.

Wyrazy te wywołały pewien efekt. Rozchmurzyła się twarz p. Jędrzejewskiego, na której przez cały czas naszej rozmowy widoczna była troska.

le.

Ku uwadze kupujących futra

Jeżeli ktoś ma zamiar nabyć futro, to powinien sobie postawić dwa nakazy: 1) kupować tylko towar pierwszorzędny, 2) omijać firmy niesolidne. Przeważnie ogół na futrach się nie zna, i jedyną gwarancją, że się kupiło coś dobrego jest dla każdego ta gwarancja, jaką mu udziela poważna firma, gdzie futro nabył. Dlatego spieszymy poinformować Sz. Czytelniczki, że jedną z najpoważniejszych firm futrzanych o wysoko pojmowanej etyce kupieckiej, gdzie towar jest zawsze pierwszorzędny, wykonanie solidne i uczciwe a ceny przystępne, to fir. Julja Ujejska, Nowy Świat 29. Do tej firmy naprawdę można mieć zaufanie.

W.

Moda tegoroczna,

lansowana przez Amerykę, a zwłaszcza przez Hollywood i Los Angeles, wprowadza emblematy Olimpjady do przyozdobienia stroju kobiecego. Nosi się je w postaci broszy, kolczyków, spinek, klamer, na guzikach, na paskach, na pantofelkach, słowem, gdzie tylko można.



Tarcza olimpijska na berecie Joan Marsh

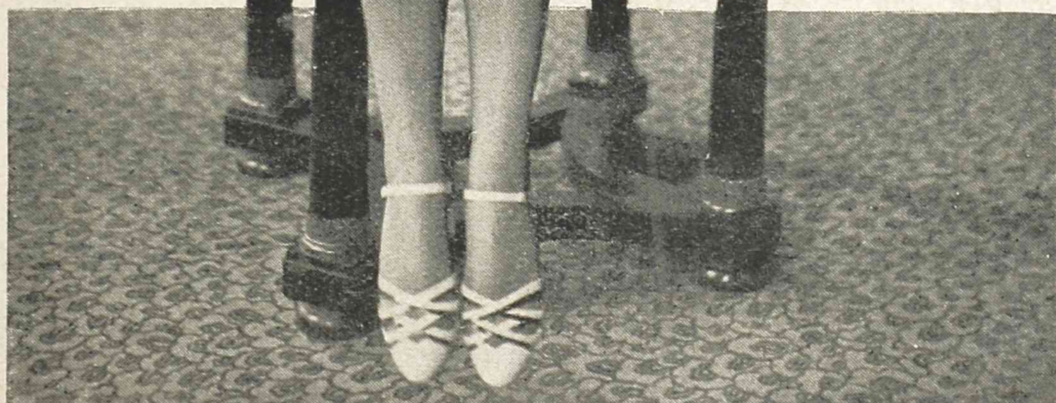


Kolczyki Olimpjady w uszach Anity Page



Aksamitna suknia wieczorowa pięknie leży na Eleonorze Holm

Suknia balowa ze złotej lamy uwydatnia wspaniałą figurę Shely Terry



Największym jednak cudem Ameryki są nóżki miss Cant z Douglaston

ZWYCIĘSTWO JERSEYU

Ani się śniło dr. Jaegerowi, wynalazcy wełnianej bielizny, że jego koszulki i inne niewymawialne części garderoby staną się prototypem tych przemiłych materjałów, znanych pod nazwą „jersey'u", które od paru lat coraz więcej moda faworyzuje.

Równocześnie z wprowadzeniem jersey'u fabrycznego, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, tysiące pracowitych rączek kobiecych, uzbrojonych w druty i szydełka, poczęło z różnobarwnych kłębków wełny i jedwabiu wysnuwać urocze drobiazgi, bez których obecnie nie obejdzie się żadna z nas.

Pomysłowe pulowerki, bluzki, żakieciki wiele zawdzięczają swym prababkom, które w postaci patarafek i innych bezużytecznych bzdurek służyły do zdobienia mieszkań. Wyszydzane, jako symbol drobnomieszczaństwa, ukrywają jednakże wiele oryginalnych ściegów i deseni, nad któremi niejedna z nas dobrze się musi namozolić, zanim go skopjuje, na użytek dzisiejszej mody.

„Beautiful and useful" — oto dewiza, towarzysząca narodzinom tych przedziwnych ażurowych, prążkowanych, mieniących się tysiącem kolorów pieścidełek, które pracowite paluszki na chwałę swoją a ku zazdrości przyjaciółek wyczarowują.

Znam niewiasty, które z taką namiętnością uprawiają robienie na drutach, że natychmiast po ukończeniu jednego pulloweru zabierają się do roboty następnego, twierdząc, że siedem dni tygodnia i siedem kolorów tęczy zgadza się doskonale z siedmioma przez nie zrobionemi bluzkami czy sweterkami.

Jak nam sygnalizują obecnie z Paryża, jersey fabryczny odegra ważną rolę,



nietylko jako materjał na kostjumy i suknie sportowe, ale również niektóre jego odmiany będą używane na suknie i tualety wieczorowe.

Wiele kolekcji największych domów paryskich lansuje nawet modele tualet balowych z jersey'u.

I tak Jane Regny przedstawia prześliczne suknie wieczorowe z *peau d'ange jersey.*

Schiaparelli zachwycił tualetami z nieuchwytnego, jak mgła, jedwabnego jersey'u. Linja i styl tych modeli kostjumów, sukien popołudniowych, zwłaszcza wieczorowych odbiega daleko od dziedziny sportu, w której jersey zadebiutował.

Komplety i kostjumy *tailleur* wyróżniają również jersey, który w kolorze i fakturze imituje w sposób zadziwiający wełny angielskie.

Krój wytworny w swej prostocie. Spódniczki rozszerzone lekko fałdami, żakiety przeważnie krótkie, z szerokiemi męskiemi klapami. Spokojne w kolorze, czarne tête de negre, szare — barwy czerwonego wina i zielone — koloru mchu, cieszą się specjalnem uznaniem. Szale i krawaty z futra dopełniają taki kostjum z jersey'u, który niczem nie ustępuje tailleur'owi z wełny tkanej.

Punkt ciężkości spoczywa niezmiennie na górnej części stanika i rękawów.

Pod wpływem hasła: „Jersey od poranka do północy" fabrykanci lansują takie mnóstwo materjałów dzianych, że skali tej niepodobna objąć pamięcią. Widzimy materjały szorstkie, węzełkowate, to znów pajęczo zwiewne, przypominające w dotknięciu velour, gładkie, deseniowe i wiele innych, jakże odbiegłych od trykotu poczciwego dr. Jaegera.

Tony bronzowawo czerwone, od modnego obecnie *sang du boeuf* aż do malinowego, stworzą piękną gamę nadchodzącego sezonu jesiennego.

Zofja Targowska



To, co najmodniejsze

Jakiś zatroskany mąż, stojący wobec perspektywy sezonu jesienno-zimowego, zapytał z rozpaczą w głosie:

— Czy tacy ludzie, jak Patou, Gaston i Filip, Channel, Molyneux, Lauvin, Worth i inne Edisony mody, których nazwiska nie schodzą mojej żonie z ust, nie zastanawiają się, że żyjemy w epoce wszechświatowego kryzysu?

Możemy tego pana i wielu innych panów uspokoić, że najgłówniejszą troską twórców mody jest właśnie kryzys — to znaczy kryzys w królestwie mody...

Zbyt prosta moda ubiegłego sezonu, zbyt łatwe modele, które można było kopjować u małych krawcowych i kupować w tanich magazynach, suknie nieskomplikowane, niehaftowane, niewymagające wielkiej ilości materjału, spowodowały kryzys w dziedzinie mody. W ubiegłym sezonie nie obowiązywały nawet futra przy płaszczach! To było zabójcze... dla futrzarzy.

W tym sezonie zapowiedziano koniec kryzysowi, ale w jaki piękny i delikatny sposób:

Z powagi sytuacji europejskiej zdają sobie sprawę Patou, Gaston i Filip, Channel, Molyneux, Lauvin i Worth. Dlatego moda jest poważna. Powaga i dostojeństwo powinny chodzić w bogatych szatach, inaczej nie wzbudzałyby zaufania. Więc też suknie są odpowiednio długie (gdy idzie o wieczorowe), fałdziste, materje zaś szczerze jedwabne, ciężkie i drogie.

Wieczorem — zacznijmy raz od wieczoru — nosić się będzie najwięcej kolor czarny, fioletowy, czerwony (wina czerwonego) i biały. Aksamit, flamizol, marocain, koronka. Georgette; owa lekka powiewna, dzisiaj niedroga materja, została zupełnie wyklęta; ani się w niej pokazać!

A fasony? Staniki skromnie wycięte z przodu, natomiast na plecach więcej swobody. Gołe ramiona będą również niemodne — natomiast bufy i bufki. By jednak te bufy nie przytłaczały, są one w sukniach wieczorowych w pasy z materjału i ażurowego tiulu, albo jedwabne materje haftuje się w duże dziurki (haft angielski).

— Powaga musi być nieco pikantna, inaczej nie przypadłaby panom do gustu — orzekł jeden z królów mody.

Suknie popołudniowe nie różnią się bardzo od wieczorowych — ani fasonem, ani materjałem. Przy czarnych sukniach wielkie aksamitne kokardy — koloru lila, czerwonego, frez, żółtego i jakieś olbrzymie kwiaty, w okolicach biustu.

Sortie. Ależ, oczywiście, króciutkie żakieciki, obramowane futrem lub futrzane, mogą też być z aksamitu prasowanego białe i czarne.

Futra długie z jaknajgładszych brajtszwanców czy karakułów nosi się po obiedzie i wieczorem. Kolor czarny dominuje.

Przed obiadem nie wolno żadnej pani pokazać się w długiem futrze.

Czyż można być pompatyczną cały dzień? — pytał inny król mody, a w tonie jego głosu było już kategoryczne przeczenie.

A więc rano nosić się będzie palta czarne i bronzowe, długie, z cięciami gdzie się chce i gdzie się da, a do tego kołnierze futrzane mięciutkie, gładziutkie, związane od niechcenia, jak szale. Stan dłuższy, niż w poprzednim sezonie. Palta — o dziwo — zapięte na guziki.

Każda szanująca się pani musi mieć w tym sezonie kurtkę futrzaną. To jest bardziej obowiązujące, niż lis! Bez tego nie można istnieć.

Do kurtek — na porę przedobiednią — konieczna suknia wełniana, ciepła, przytulna, z angory, i nie mniej konieczny pullover tylko na drutach, tylko ręcznej roboty, pullover - bluzka, pullover - kamizelka.

Na rano te same kolory, co wieczorem, — plus pomidorowy i szary.

Biżuterja: wieczorem prawdziwa, a przez cały dzień stal: obręcze, branzolety, naszyjniki ze stali. Wielkie guziki stalowe. Moda przemysłowa i przemyślana w każdym calu.

Kapelusze nosi się od niechcenia, zasłaniając jedno oko. Które — rzecz obojętna.

(h)

JERZY-MARJUSZ TAYLOR

Wilk w Ogrodzie Saskim

Maciej Jabłon oddawna już nie pełnił swych obowiązków. Nikt mu nie wydawał zleceń. Nikt nie kazał zamiatać alei, ani uprzątać zeschłych liści z trawników lub polewać klombów w wieczory upalnych dni. Maciej Jabłon nie miał potrzeby zrywać się skoro świt dla doprowadzenia do porządku wyznaczonego sobie odcinka, zanim bramy Ogrodu Saskiego staną otworem dla przechodniów. Maciej Jabłoń od lat był na emeryturze, niejako na łaskawym chlebie, nic nie robiąc, a przecież korzystając z tego samego przyciasnego może, lecz wygodnego kąta, który zajmował w owych dniach, gdy zbrojny w tęgą miotłę, sporządzoną własnoręcznie z młodych pędów wierzby, rosnącej na jego własnym terenie, z pełnem poczuciem godności wyruszał co rano na robotę.

Ten kąt — mała drewniana, pokryta smołowcem izdebka, i teraz służyła mu za mieszkanie, może dlatego, że nikt inny nie kwapił się do jej zajęcia. Niewielkie podwórko, na którem stał ten najmniejszy chyba w stolicy domek mieszkalny, otoczony wysokim parkanem, a znajdujący się na tyłach Teatru Letniego, przez ogół służby ogrodowej uważany był przecież za rodzaj śmietnika, na którem składano od czasu do czasu nikomu niepotrzebne rupiecie.

A jednak podwóreczko zawsze było czysto zamiecione, posypane świeżym piaskiem i dobrze wygracowane, a lekkie ślady pewnego nieporządku, jakie możnaby spostrzec tu i ówdzie, należało przypisać jedynie trzem kurom, hodowanym przez zabiegliwą panią Maciejową. Och, te kury! Z ich powodu najczęściej wybuchały nieporozumienia między starem małżeństwem. Maciej Jabłon nie bez słuszności podejrzewał, że oszczędna żona podbiera mu dla nich część „towaru".

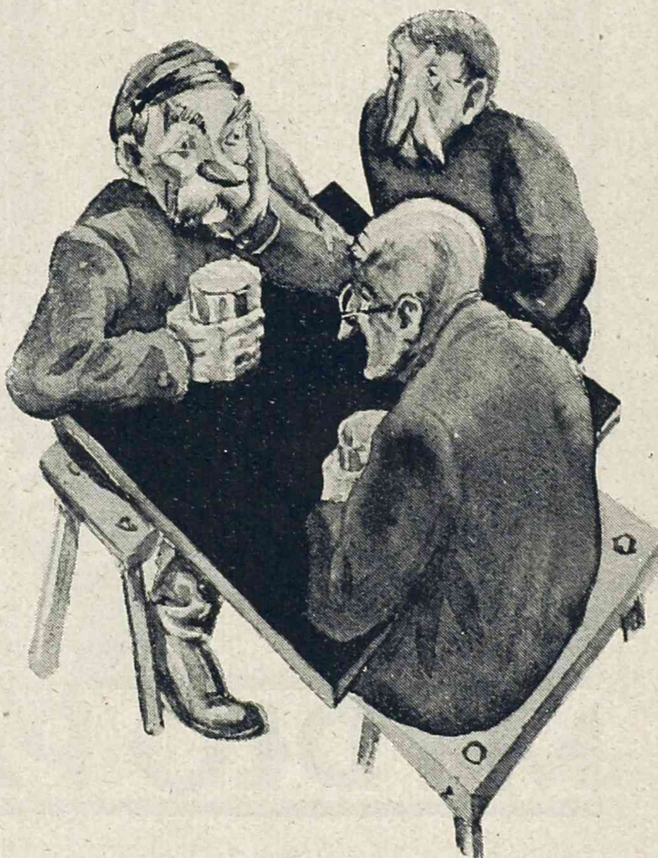
Właśnie „towaru". Maciej Jabłon przecież handlował i miał klientów, stałych odbiorców, co z blaszankami przychodzili doń regularnie. W piątki i soboty najwięcej. Ale i w inne dni tygodnia zdarzało się, że wpadał jakiś rybak z zapytaniem:

— Panie Macieju! Czy są aby dżdżownice?

Były. Ma się rozumieć, że były. Każdy wędkarz świąteczny wiedział dobrze, że w zacisznem podwórku na tyłach Teatru Letniego dostanie ile zechce grubych, białawych rosówek, na które najlepiej biorą się szczupaki i wąsate sumy, albo drobnych czerwonych inspektówek, dobrych na przynętę dla wszelkich innych ryb.

Towar ten Maciej Jabłon przechowywał troskliwie w drewnianych skrzyneczkach, ułożonych pedantycznie jedna na drugiej. Uzupełniał swe zapasy nocą, przy świetle księżyca lub małej latarki ręcznej. Po deszczu zwłaszcza znajdowało się na dróżkach ogrodowych rosówek bez liku.

Nocne polowania opłacały się sowicie. W sezonie wędkarskim towar szedł jak woda i z pięćdziesięciogroszowych kwot, pobieranych za „porcję" dżdżownic, przy końcu tygodnia tworzyły się spore sumki, nieraz przewyższające wypłatę emerytalną. Dochód ów był zaś o tyle dogodniejszy, że wymykał się z pod kontroli czujnej pani Maciejowej. Dzięki niemu mógł Jabłon niekiedy zajrzeć do pewnej piwiarni staromiejskiej, gdzie zbierali się starzy znajomi, ugwarzyć, przyjąć poczęstunek i sam postawić niejedną kolejkę.



Z piwiarni wracał właśnie owego pamiętnego wieczora, kiedy przydarzyła mu się ta przygoda przedziwna. Nie był zawiany. O, bynajmniej! Mało kto miał taką mocną głowę, jak Maciej Jabłon. Najlepszym dowodem, że był trzeźwy, może służyć fakt, iż, otworzywszy bramę od ulicy Fredry kluczem, z którego posiadania chełpił się, jako z rzadkiego przywileju, spostrzegł wielką dżdżownicę, pełznącą po wilgotnym od rosy chodniku, i ruchem zamiłowanego zbieracza schował ją do kieszeni. Dojrzał potem drugą, a nieco dalej dwie inne, jeszcze większe. Była to okazja, której nie mógł pominąć. Dwadzieścia rosówek przecież stanowiło „porcję", czyli pięćdziesiąt groszy, inaczej kufelek piwa.

Chwiejąc się zlekka i pośpiewując ochrypłym lecz wesołym głosem, Jabłon minął staw, z którego dolatywał plusk wodotrysku, zmieszany z donośnem kwakaniem cyranek, i dobrnął ociężale do wąskiej dróżki, ciągnącej się wzdłuż wzgórza, podpierającego okrągły budynek dawnego wodociągu.

Tu przystanął na chwilę w zamyśleniu. Miejsce to stanowiło niejako rozdroże. Wąziuchną ścieżyną, przemknąwszy się pod obrośniętym gęsto bluszczem głazem granitowym, postawionym na pamiątkę dwóchsetlecia Ogrodu Saskiego, można było wyjść wprost na Teatr Letni. Stamtąd zaś parę kroków zaledwie było do domu. Ale w domu była Maciejowa i Jabłon uznał, że na powrót jest jeszcze stanowczo za wcześnie. Znał przecież doskonałą wrażliwość organu powonienia swej małżonki i nie łudził się, by mógł ujść jej uwagi bodaj najlżejszy zapach alkoholu.

W wyniku tych rozmyślań tupnął zawadjacko, musnął siwego wąsa i krokiem wciąż jeszcze chwiejnym, ale energicznym, poszedł w kierunku wręcz przeciwnym, w stronę pałacu Saskiego.

Pusto tu było i przestronnie. Długą i szeroką aleję oświetlały zgodnie księżyc i latarnie blaskiem miłym dla oka, jakby cedzonym przez delikatną warstwę waty, po gorącym dniu bowiem cały ogród otuliła wilgotna a ciepła mgła jesienna. Perspektywa więc nie była daleka. O sto kroków stała jakby ściana, poprzez którą nawet wytrawne oczy Macieja Jabłona nie spostrzegały ani fontanny, ani smukłych arkad kolumnady. W takiej mgle łatwo może się ukryć człowiek niedobry, z którym lepiej nie spotykać się po nocy.

Maciej Jabłon miał w jednej kieszeni pełno świeżo zebranych dżdżownic, w drugiej pobrzękiwało mu nieco srebrniaków, pozostałych po zmianie grubszego banknotu w piwiarni staromiejskiej. Ale szedł śmiało. Któż mógł zastąpić mu drogę o tej porze? Ogród przecież był pusty. Gdzieś daleko pilnowali swych bram dozorcy nocni. Pozatem nie mogło tu być nikogo. Ani człowieka, ani psa.

Kroczył, utyskując na nieporządki. I miał rację. Toż dwa dni temu już odbyła się zabawa na Pogotowie, a wzdłuż głównej alei leżały jeszcze kupy śmieci. Ba! I oblatujących liści nie uprzątnięto należycie. Trawnik, znajdujący się wpobliżu wielkiej, podobnej do czary, fontanny, pokryty był niemi jak kobiercem. Zgniewało go to i do reszty zepsuło humor. Gdybyż miał miotłę! Napewno wziąłby się do zamiatania. W ciągu godziny uprzątnąłby całą aleję i jeszcze zdążyłby się wyspać niezgorzej. Niechby się potem dziwowali. Sarkając na nowe czasy i nowych ludzi, kroczył coraz pewniej. Nagle stanął, jak wryty.

Jakieś duże zwierzę wyłoniło się opodal z szarej mgły i biegło wprost na niego bezszelestnie, zaledwie dotykając łapami przysypanej gęsto suchemi liśćmi ziemi.

Śmiało można twierdzić, że w tej chwili właśnie Maciej Jabłon wytrzeźwiał ostatecznie. Czyż można mu się dziwić? Krążąc nocami po pustych i cichych alejach podczas swych stałych polowań na dżdżownice, spotykał już niejedno stworzenie, którego widok zdziwiłby zapewne niemało zwykłego śmiertelnika, gdyby dane mu było kiedy zabłądzić tu o tej porze. Około północy, gdy przestawał już rozlegać się odgłos kroków spóźnionych



przechodniów, Ogród Saski poczynał żyć nowem, zgoła innem życiem. Tu przebiegł kot - włóczęga, tam skradał się tchórz - szkodnik, ówdzie wśród kup zeschłych liści gospodarował z gniewnem fukaniem jeż, zaciekle poszukując myszy. Takich stworzeń było tu do licha, ani ich wypędzić, ani wyplenić. Ale to? W sączącem się leniwie przez bladą zasłonę mgły świetle miesiąca widać było wyraźnie wąski, okrutny pysk, szczerzący białe kły i nastroszoną charakterystycznie, tworzącą jakby niewielki garb, szerść na grzbiecie i wreszcie puszysty, złowrogo podwinięty ogon.

To był wilk.

Jeszcze chwila i pochłonęła go mgła. Wilgotny, gęsty opar, wiszący nad alejami grubą płachtą, przez którą zaledwie majaczyły niepewne zarysy kamiennej czary wielkiego wodotrysku, rozstąpił się i zasunął niemal jednocześnie, ukrywając tajemnicę dzikiego stworzenia, które nieoczekiwanie pojawiło się w Ogrodzie Saskim, jakby po to tylko, aby wprawić w zdumienie emerytowanego dozorcę.

*

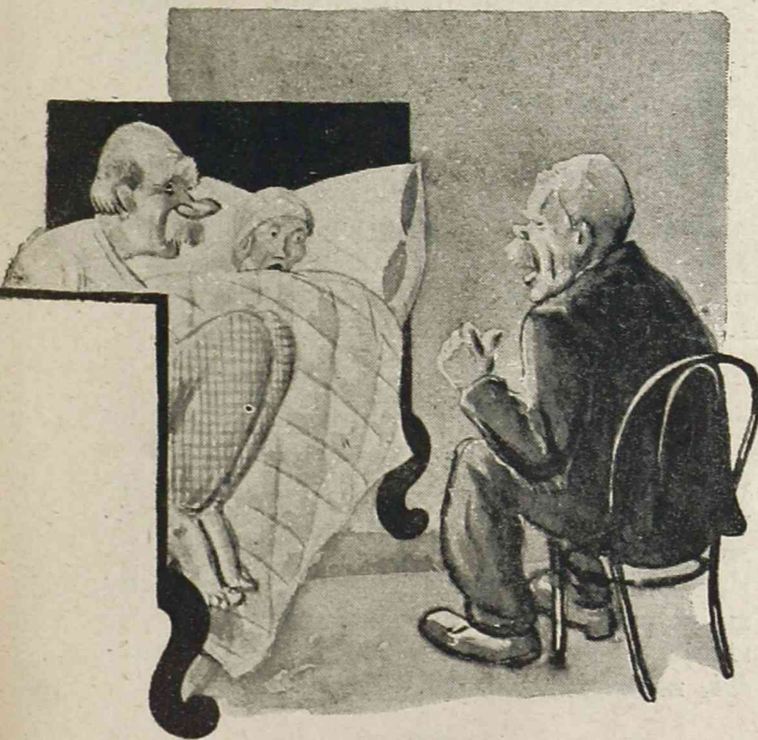
W małej izdebce było zacisznie i ciepło. W piecyku buzował wesoło ogień, a z pod pokrywy żelaznego garnka wydobywała się apetyczna woń kapusty, suto okraszonej prażoną słoniną. Pod oknem popiskiwały sennie siedzące na niskiej grządce kury, a na krawędzi stołu drzemał duży pstrokaty kot. Nieinaczej zapewne wyglądają wnętrza chat owych dalekich osiedli kresowych, gdzie wieść o wilku, myszkującym w pobliżu, może na podwórku obejścia sąsiedniego, jest sprawą zwykłą, powszednią, nie wzbudzającą w nikim nadmiernego zdziwienia.

Tutaj było wręcz odwrotnie. Pani Maciejowa ani rusz nie chciała uwierzyć słowom męża i bez namysłu skojarzyła zdumiewającą zjawę nocną z długotrwałym pobytem pana Macieja poza obrębem domowego ogniska.

Rozstrzygnęła to zagadnienie krótko i zwięźle.

— Jeżeli jeszcze raz wrócisz do domu pijany i będziesz mi opowiadał o wilku czy co innego, to wiedz, że zrobię ci to samo, co tamtemu warjatowi, który wypytywał mnie o żmije. Pamiętasz, jak to było?

Maciej Jabłon pamiętał dobrze. Po wrzawie, jaką podniosły gazety o żmijach, które rzekomo miały się lęgnąć w tym ogrodzie śródmiejskim, pewien ciekawy młody przyrodnik w poszukiwaniach swych zapędził się aż na to spokojne podwórko. Ale pani Jabłonowa dała mu taką odprawę i tak rozpuściła język, że



biedny przyrodnik, pragnący wyjaśnić zadziwiającą zagadkę znajdowania żmij w Ogrodzie Saskim, wycofał się natychmiast z niebezpiecznego terenu.

Stary Jabłon również dał za wygraną. Zaciszne ciepło izdebki zresztą podziałało nań w sposób zgoła niesprzyjający wszelkim przywidzeniom nocnym. Uwierzył, że mu się tylko zdawało i pogodził się z tem zupełnie. Zjadł posłusznie kolację, poczem legł na tapczanie i niebawem zachrapał głośno.

*

A jednak nie sądzone było mieszkańcom samotnej izdebki wyspać się tej nocy, obfitującej w przygody dziwaczne. Jeszcze wiele godzin pozostawało do wschodu słońca i zaledwie lekkie pasmo zorzy różowiło się nad oficynami romantycznego pałacu, w którym od czasów wszechwładnego ongiś ministra dwóch królów mieści się oś naszej polityki zagranicznej, gdy do drzwi chatki zakołatano gwałtownie.

Maciej Jabłon odrazu zerwał się z posłania. Sen miał lekki. A zmiarkował też, że tak dobijać się może tylko ktoś znajomy. Umiał stąpać pocichu i napewno otworzyłby drzwi, nie budząc żony. Ale, jak na złość, zawadził o grządkę z kurami, które natychmiast frunęły na pokój z przeraźliwem gdakaniem. Maciejowa na ten hałas zbudziła się, lecz ku zdumieniu męża nie powiedziała złego słowa.

— To pewnie ktoś po twoje robaki — rzekła, ziewając głośno. — Otwórz! Czego marudzisz? Od zarobku przecież głowa nie boli.

Omyliła się. Przez otwarte drzwi wtoczył się do izby portjer Teatru Letniego, prawie taki stary jak Jabłon i oddawna żyjący z nim w przyjaźni. Ledwie wszedłszy, zwalił się na krzesło, aż pod nim jęknęło. Siadł i ani słowa. Tylko zęby mu szczękały.

— Co się wam stało, panie Wincenty? — zaniepokoiła się pani Maciejowa, wciągając kołdrę aż pod brodę.

Wincenty stęknął, odsapnął i zrobił widoczny wysiłek, aby przemówić, ale jakoś mu nie szło. Wydał tylko niezrozumiały bełkot i znowu stęknął ciężko.

Pani Maciejowa przestraszyła się na dobre.

— Żebym was nie znała, pomyślałabym, że byliście dziś z moim w tej piwiarni przeklętej — rzekła z wyrzutem w głosie. — Ano w takich latach wódka na zdrowie nie idzie.

Nocny gość w odpowiedzi tylko zadzwonił zębami. Nie, doprawdy, trudno się było z nim porozumieć. Zupełnie nieoczekiwanie dla pani Maciejowej dokonał tego jej mąż.

— Słuchajcie, kumie — rzekł twardo, usiadłszy obok starego przyjaciela. — Czyście czasem nie widzieli wilka?

Jasny piorun chyba mniejsze wrażenie zrobiłby na biednym Wincentym. Stary portjer cały się skulił, rzucając dokoła przerażone spojrzenia, jakby w obawie, że może ujrzeć za chwilę coś strasznego. Nigdzie jednak nie było żadnego stracha. Tylko kury wałęsały się po izdebce, gdacząc zcicha, a gdzieś w kącie miauczał niespokojnie zbudzony z głębokiej drzemki kot.

Po chwili więc Wincenty przyszedł do siebie i począł mówić, a w miarę tego opowiadania rósł w dumę i odzyskiwał pewność siebie pan Maciej. Okazało się, że po zakończeniu przedstawienia w teatrze portjer udał się na małą przechadzkę po ogrodzie. Akuratnie, jak pan Maciej. I tak samo, jak on, szedł tylko dobrze oświetlonemi alejami, choć może z innego powodu wolał unikać ciemnych ustroni. Oto żył już długo i wiele znał gadek o duchach, co w porze nocnej nawiedzają Ogród Saski. Tak! To nie są żarty. Wszyscy wiedzą przecież, że w okolicy dawnego pałacu Saskiego włóczy się dotąd po nocach duch Mocnego Króla, co kiedyś tu panował i uczty wesołe wyprawiał. Niejeden już spotkał marę i na dobre mu to nie wyszło. To nic jeszcze! W pierwszą noc ponowy księżycowej może się zdarzyć, że błądzący po Ogrodzie przechodzień usłyszy, jak nawołują się wzajem posągi kamienne, zdobiące część wielkiej alei. Dobrze, gdy w takiej chwili zachowa milczenie. Jeśli przestraszy się i krzyknie — biada! Wszystkie te Muzyki, Astronomje i Sztuki rzucą się nań kamiennym tłumem i skopią, stratują, zadepczą. Ale to jeszcze nie wszystko. Jest w Ogrodzie strach gorszy. Szary wilk. Skąd się tu wziął? Dobrze niewiadomo. Mówią niektórzy...

— Sąsiedzie — przerwał Maciej. — Ja wiem, że wy wierzycie w te różne duchy, ale mówię wam, nie bajajcie mi byle czego, bo się zezłoszczę.

— Ja gadam wtedy, kiedy wiem. Czekajcie! — ciągnął dalej Wincenty już z gniewem. — Nie przerywajcie! Otóż ja tego wilka, a raczej upiora, widziałem. Dziś go widziałem. Nie biegł, ale płynął. Tak! Płynął w powietrzu. No i rozpłynął się. Zniknął za tem wzgórzem, gdzie jest piwnica.

— Rozpłynął się? O, Jezusie! — zajęczała kobieta.

— Czekajcie jeszcze! — sarknął. — Dajcie mi skończyć, u licha! Cóżem to mówił na początku. Acha! Otóż prawią niektórzy — w książkach nawet o tem stoi — że syn Mocnego, też August, strasznie lubił do psów z okna strzelać. Spędzano mu je więc do ogrodu dla rozrywki i raz, przez omyłkę, przygnano oswojonego wilka. Tego król polubił i strzelać nie chciał, bo zwierz był łagodny i zabawny. Ale cóż? wilka trzymano w ogrodzie razem z psami, co do strzelania były, i pewnego dnia król, może była wówczas mgła — wygarnął doń. Wilk padł, no i do dziś dnia pokazuje się teraz w ogrodzie. Dlaczego? Bo postradał życie przez omyłkę. Pokutuje.

— Panie Wincenty! — zawołał emerytowany dozorca, czyniąc ręką taki ruch, jakby odtrącał niemożliwe do przyjęcia wywody. — Ja też chciałbym dokończyć. Otóż od dwóch dni rankiem...

— Wychodząc po rosówki — podpowiedział zjadliwie Wincenty.

— A właśnie. Po rosówki. Nie wstydzę się tego. Od dwóch dni więc już rankami znajduję nad stawem w krzakach takie o! — pokazał ręką — kupki kaczego pierza. Któż to dusi nam ptactwo wodne? — ciągnął dalej z tryumfem, widząc wrażenie, jakie nieoczekiwana wiadomość zrobiła na słuchaczach. — Kto, pytam?

— A ja wiem? — wzruszył ramionami wzgardliwie Wincenty. — Pewnie tchórz.

Acha! Tchórz! Nie Macieja Jabłona było brać na plewy. Stary znał nawylot wszelkie tajemnice zwierzęce swego ogrodu w którym przeżył przeszło ćwierć wieku. Tchórz byłby wypił krew tylko, rzucając ciało swej ofiary w stanie nienaruszonym. Kot pozostawiłby niezawodnie obgryzione większe kości. Tu zaś nie było nic prócz pierza i krwawych plam na trawie.

Spór dwóch przyjaciół zaostrzył się nagle.

— Wilk — upierał się Jabłon.

— Upiór — twierdził Wincenty.

Maciej Jabłon był widać nazbyt pewny siebie, skoro poprowadził swego druha nad brzeg stawu, gdzie spodziewał się znaleźć nową ofiarę wilka, który musiał się ukrywać gdzie w gąszczu krzewów.

Ślady były. Maciej Jabłon pokazał je przyjacielowi z tryumfem i, co najgorsze, w miejscu, gdzie stary portjer ujrzał swego upiora. Patrząc na te ślady, nikt nie mógł wątpić, że jakieś zwierzę, o wiele większe od kota czy tchórza, przebiegło szybko po czysto wygracowanej drożynie.

Maciej Jabłon zacierał ręce z radości. Wtem zatrzymało obu przyjaciół przeciągłe wycie dolatujące ze szczytu wzgórka, od kamiennej kolumnady, zdobiącej lekką rotundę starego wodociągu. Ponury ten odgłos nie trwał długo, choć zdążył zmrozić krew w żyłach Wincentego. Ale i przestrach minął szybko. Już w następnej chwili twarz portjera przybrała wyraz dawnej pobłażliwej ironji.

Po stromem zboczu wzgórka staczało się wdół zwierzę, które napewno nie było wilkiem. Napewno też jednak nie było i upiorem. Zwykły kundel bezpański, pies-włóczęga z czarną pręgą na grzbiecie zbiegł z pagórka na ścieżkę i pełznął nieśmiało ku ludziom, jakby prosząc o wzięcie go pod opiekę.

Maciej Jabłon długo patrzył i długo kręcił głową.

— Tfu! — splunął wreszcie z niesmakiem. — Tak to pilnują ogrodu młodzi. Zdaje mi się, że niebawem będziemy tu mieli całą psiarnię.

Jaki kapelusz męski jest modny w tym sezonie?

Oto pytanie na które musimy odpowiedzieć wielotysięcznej rzeszy naszych eleganckich czytelników.

Postanowiliśmy dać im odpowiedź, jaknajbardziej wyczerpującą; współpracownik nasz skorzystał z uprzejmości p. E. Olbratowskiego, właściciela znanego w Warszawie magazynu kapeluszy męskich p. f. „J. Młodkowski", Plac Trzech Krzyży 18 i zadał mu kilka niedyskretnych pytań.

— Co nowego przygotował Sz. Pan dla swoich odbiorców na bieżący sezon?

— Najmodniejsze w tym sezonie są kapelusze włochate i welurowe, dlatego posiadam ich najwięcej; są to nakrycia głowy bardzo eleganckie, trwałe i ciepłe i zastępują zupełnie pod względem wygody i trwałości narzucone nam dawniej przez Rosję czapki.

— To znaczy, że najmodniejszym nakryciem głowy jest obecnie?...

— Szary welurowy lub włochaty kapelusz z niewielkim rondem.

W tej chwili p. E. Olbratowski prowadzi mnie do nadzwyczaj bogato zaopatrzonych składów za magazynem, gdzie całe ściany zastawione są pudłami mieszczącymi setki tuzinów kapeluszy — wszystko ostatnie nowości.

— Jest w czym wybierać, jak pan widzi; napewno każdy znajdzie u mnie nakrycie głowy nietylko modne, ale i specjalnie odpowiednie dla swojej twarzy i postaci.

— A ceny?

— Poco mam panu wyszczególniać ceny, wystarczy jeżeli powiem, że luksusowy kapelusz, który dawniej sprzedawałem za Zł. 63.—, dziś oddaje mniej więcej za Zł. 50.—. W tym stosunku spadły ceny na wszystkie kapelusze — już za kilkanaście złotych można nabyć ładny i dobry kapelusz.

Na zakończenie pytanie trochę poza tematem.

— Czy nie sądzi Sz. Pan, że jego magazyn leży trochę zabardzo na uboczu?

— Drogi panie, nie zmieniam lokalu przez sentyment dla tradycji, firma „J. Młodkowski" tak się zrosła z Placem Trzech Krzyży, że myślę, iż umieszczona gdzieindziej nie byłaby już tą samą. Zresztą wszyscy mnie znają: najwybitniejsi ludzie z naszego świata politycznego, gospodarczego i literacko-artystycznego oraz najszersze sfery inteligencji to moi odbiorcy — tu mała przerwa i westchnienie — 66 lat istnienia, to coś znaczy.

Tak jest Kochani Czytelnicy, jeżeli chcecie mieć dobry i modny kapelusz, to szukajcie go na Placu Trzech Krzyży 18.

J. W.

AKTUALNOŚCI FUTRZANE

Z prawdziwą przyjemnością spieszymy zakomunikować Szanownym Czytelnikom „Świata", że znana na rynku naszym od lat kilkudziesięciu firma futrzana S. Lehr i S-ka, otworzyła w ostatnich miesiącach dla wygody swojej b. licznej klijenteli, piękny po europejsku urządzony magazyn przy ul. Marszałkowskiej 130, tel. 618-32.

Nowy ten magazyn został zaopatrzony w nadzwyczaj bogatą kolekcję modnych futer. Piękne Panie, które zechcą odwiedzić firmę J. Lehr i S-ka przy ul. Marszałkowskiej 130, będą miały możność obejrzeć wiele pięknych futer.

TRYKOTAŻE

(Specjalny wywiad „Świata" z właścicielem firmy „Tricot").

— Daruje Sz. Pan, że mu zajmuję drogi czas (bo sezon za pasem), ale to dla naszych Kochanych Czytelników, którzy przed zbliżającym się sezonem pragnęliby usłyszeć coś o trykotażach.

— Zawsze jestem do dyspozycji Czytelników „Świata", niech Pan przedewszystkiem napisze, że bardzo modne są w tym sezonie krótkie pullovery w kolorze szarym, bronzowym a najwięcej koralowym, jakkolwiek noszone będą i inne kolory lubiane przez piękne Panie, jak nap. niebieski, rezedowy, ponsowy.

— Firma Sz. Pana słynie z pięknych modeli, czemu nie widać ich na wystawie w tym roku?

— Proszę Pana, nigdy nie prezentujemy swoich modeli na wystawie — przecież konkurencja natychmiastby je skopjowała. Wyjątkowo piękną kolekcję modeli tegorocznych demonstrujemy klijenteli tylko w naszym magazynie. Mam nadzieję, że wiele Sz. Czytelniczek „Świata" pofatyguje się na Marszałkowską 129 („Tricot") ażeby te cacka obejrzeć.

— Jestem tego pewny. Ale, a propos, — to wszystko pewnie dla dorosłych — a nasi milusińscy?

— Czyżbyśmy zapomnieli o dzieciach, dla naszej kochanej dziatwy przygotowaliśmy specjalnie bogaty asortyment towarów zarówno do sportu jak i na użytek domowy.

— Na zakończenie, niech Pan będzie łaskaw jeszcze zaznaczyć, że bardzo będą noszone w tym sezonie (wzorem Anglików) wełniane pończochy i to zarówno damskie jak męskie i dziecinne.

— Bardzo dziękuję Sz. Panu za tę garść ciekawych informacyj.

Jowu.

Teatry Miejskie w Warszawie

Teatr Narodowy występuje w nadchodzącą sobotę (8 października) z pierwszą wielką premjerą, która będzie zarazem inauguracją sezonu: Premjerą tą będzie „Iwan Groźny" Aleks. Tołstoja, w nowem polskiem opracowaniu poetyckiem Stanisława Miłaszewskiego, w reżyserji Karola Borowskiego. Główne role wykonają: Kazimierz Junosza-Stępowski (postać tytułowa), Józef Węgrzyn (Borys Godunow), Brydziński, Samborski, Gawlikowski, Socha, Janusz, cały szereg innych wybitnych artystów. Główne role kobiece wykonają pp. Lindorfówna, Jarszewska, Janecka, Zielińska... Dekoracje i kostjumy Karola Frycza. Widowisko zapowiada się niezwykle interesująco.

W *Teatrze Nowym* co wieczór wypełnia widownię „Mademoiselle". Jest to niewątpliwie jeden z największych sukcesów tego teatru. Ćwiklińska, Dulęba, Lubieńska, Łapiński, Orwid, Małkowski i Roland stanowią zespół niezrównany.

W *Teatrze Letnim*, po dokonaniu skróceń w akcie I-ym, komedja Verneuil'a „Jak się zdobywa kobiety", z każdym wieczorem coraz lepiej utrwala swoje powodzenie. Pancewiczowa, Sulima, Fertner, Jerzy Leszczyński, Wł. Grabowski, Rapacki — wywołują nieustanne wybuchy śmiechu. Kto chce spędzić wieczór w nastroju beztroskiej, niefrasobliwej wesołości, niech idzie do Teatru Letniego.

WYBRYKI MODY



DZISIAJ DEKOLT Z TYŁU SIĘGA PASA



STRÓJ DAM WŁOSKICH WEDŁUG RYSUNKU BERTELLI'EGO (1594 R.)



KAPELUSZ Z LAT PRZEDWOJENNYCH

Na marginesie mody, która jest niezmiennie zmiennym, a powtarzającym się w pewnych okresach czasu szablonem, istnieje coś, co tak daleko od tego szablonu odskakuje, że niepodobna go określić inaczej, jak wybrykiem mody.

Wielcy fanatycy pewnej idei tworzyli często jej karykaturę. Tak też dzieje się z modą. Wielkie fanatyczki mody zniekształcają ją, zwłaszcza wtedy, gdy nie mają odpowiednich kształtów. Niemniej cały komizm i cała przesada w wypełnianiu przykazań danej mody ujawnia się wtedy dopiero, gdy moda została zlikwidowana.



CZASY CESARSTWA POZWALAŁY ODSŁANIAĆ CAŁE PIERSI



PRZED PAROMA LATY NIE RAZIŁY NIKOGO SUKNIE ODSŁANIAJĄCE KOLANA

Nie raziły nikogo suknie odsłaniające całkowicie i niezawsze piękne kolana, gdy pokazywanie ich było obowiązujące... Dzisiaj na samą myśl, co się widziało wtedy, cierpnie człowiek.

Olbrzymie kapelusze z lat: 1830-ych i z roku 1914-ego były dumą ich właścicielek; a teraz oglądane na obrazku czy fotografji robią potworne wrażenie.

Jak można było — pytamy prababek z początku XIX wieku — pokazywać tyle dekoltu? A przecież dekolty z przed paru lat „po przeciwległej stronie" były niemniej obnażające.

A jednak, sięgając wstecz do minionych epok, przekonywujemy się, że największe szaleństwa mody minęły i nie powtarzają się. Włoskie damy z siedemnastego stulecia nie znalazły naśladowczyń... I żadna nie włoży krynoliny z Baroku, ani fryzury „à la Fregatte".

Stanowczo moda uspokoiła się. Spokojne są nawet balowe pijamy, które lansuje Paryż. Dopiero za sto lat będą uważać je za błazeństwo mody z czasów kryzysowych.

(ha).



FRYZURA A LA FREGATTE, NOSZONA OKOŁO 1780 R.



„TRZY GŁUPTASKI": ZOSIA DYMSZYNA, MIRA ZIMIŃSKA I TOLA MANKIEWICZÓWNA
Fot. St. Brzozowski



„OŚMIORNICA": ALEKSANDER ŻABCZYŃSKI Z ELĄ ANTOSZÓWNĄ I ALESSO

Rewje Warszawskie rozpoczęły sezon

Teatry rewjowe warszawskie rozpoczęły już sezon na dobre.

Naprzód „Morskie Oko" wystąpiło z inauguracyjnym programem pod nazwą „Przebój Warszawy".

Program ten, odstępując od tradycji widowisk o charakterze wyłącznie optycznym, oparł się w znacznej mierze na pomysłach autorskich i na walorach zespołu istotnie doborowego.

Przedewszystkiem Mira Zimińska wnosi na scenę finezyjną, inteligentną groteskę i styl gry komedjowej. Piosenka „Tu mi wyrosną pelargonje" ma plastykę dyskretnego humoru. Numer „Trzy głuptaski", w którym Zimińska, Mankiewiczówna i Dymszyna walczą o palmę głupoty — jest naprawdę wesoły i doskonale zrobiony.

„Match dowcipu" — zawiera kilka dobrych dowcipów.

Krukowski świetnie parodjuje Gruszczyńskiego, ale sam Gruszczyński powinien powrócić co rychlej do opery, albowiem jego interpretacja piosenek rewjowych zionie już beznadziejną monotonją.

Igo Sym i Aleksander Żabczyński rywalizują o berło męskiej urody. Przewaga aktorska jest stanowczo po stronie Żabczyńskiego, co zaś tyczy się piękności — to rzecz gustu.

Finał „Jesienne róże", bardzo efektowny dekoracyjnie, melodyjny i z wdziękiem wykonany przez Mankiewiczównę i Żabczyńskiego.

Tylko te teksty — te rymy! — „Te róże herbaciane — są jak usta twe kochane", „Idziemy przez park głusz — a róże więdną już", „Twojej miłości — bez wzajemności" i tak dalej... i tak dalej...

Z TEATRU „BANDA"



HANKA ORDONÓWNA
Fot. St. Brzozowski

Antoszówna rozwija się coraz bardziej. Jej taniec pijanej „bar-girl" — to kreacja wysokiej klasy.

Dobrze tańczy również ładniutka Alesso. „Girlsy" ubrane przez Gronowskiego, a wyćwiczone przez Wojcieszkę sprawnie wykonują swoje „pas".

Naogół program — jest udany, czego nie można powiedzieć o inauguracyjnym programie „Bandy" w odnowionym lokalu Teatru Małego.

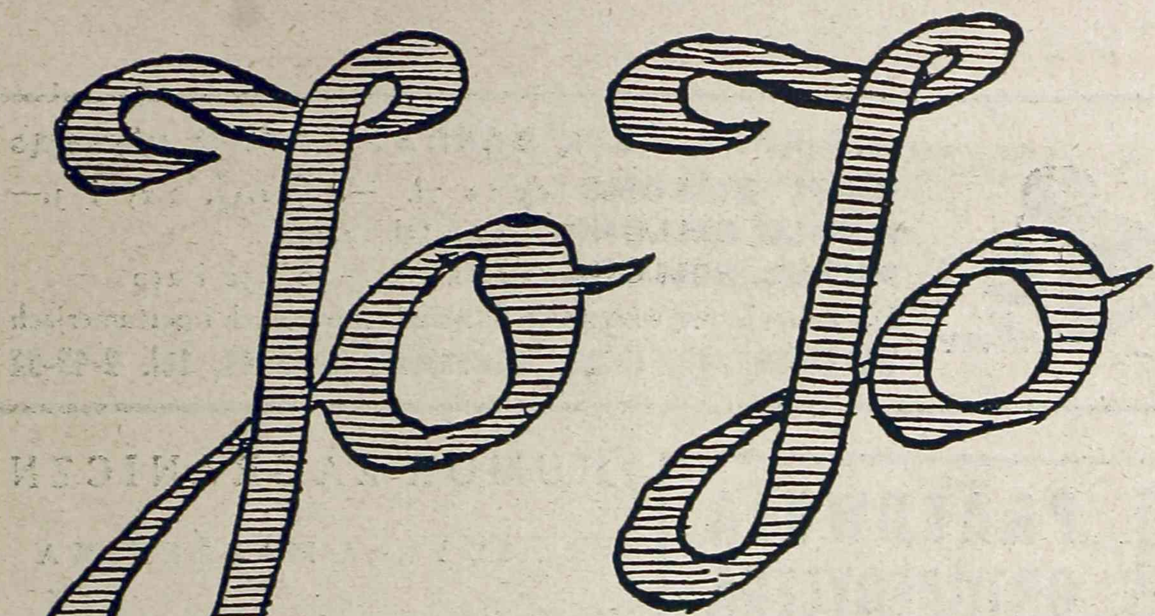
Godło „Gaudeamus igitur" nie odpowiada istocie rzeczy, bo właściwie niema się z czego tak bardzo cieszyć...

Jedynie Hanka Ordonówna z ekspresją mówi piękny wiersz Tuwima, obrazujący rytm współczesnego życia. Jest to bezwzględnie najlepszy numer programu.

Pozatem świetny w monologu Dymsza i rozkoszna jak zawsze — sama przez się — Zula Pogorzelska.

Reszta wypadła blado i mętnie. Szczerze mówiąc — było nudno...

Roma.





PASJONUJĄCA ZABAWKA CHWILI OBECNEJ POPRZEZ PERSPEKTYWĘ WIEKÓW

Z setek tysięcy ogarniętych dzisiaj manją Jo Jo, we wszystkich sferach społecznych, państwach i częściach świata, nieliczni tylko zapewne wiedzą, że zabawka ta posiada długą i ciekawą historję, sięgającą czasów starożytnych.

Na wazie starogreckiej w Muzeum Narodowem w Atenach znajdują się pierwsze rysunki Jo Jo w rękach postaci mitologicznych W Anglji popularność Jo Jo doszła do zenitu w połowie wieku dziewiętnastego. Wskazują na to ilustracje, zamieszczone w tygodniku „Punch" z roku 1862. Była to ulubiona rozrywka ówczesnego księcia Walji, późniejszego Edwarda VII. Nosiła wówczas nazwę „bandalora". Według angielskiego profesora, sir H. Englehelda, pomysł Jo Jo pochodzi z Turcji, nazwa zaś ma brzmienie murzyńskie.

Modę Jo Jo wznowiono ostatnio w Kanadzie i stąd tryumfalnym pochodem przechodzi cały świat. Bawią się jojem starzy i młodzi, w mieszkaniach, ogrodach i restauracjach; nawet na ulicach wielkich miast widzimy ludzi nałogowo już wprowadzających w ruch JoJo.

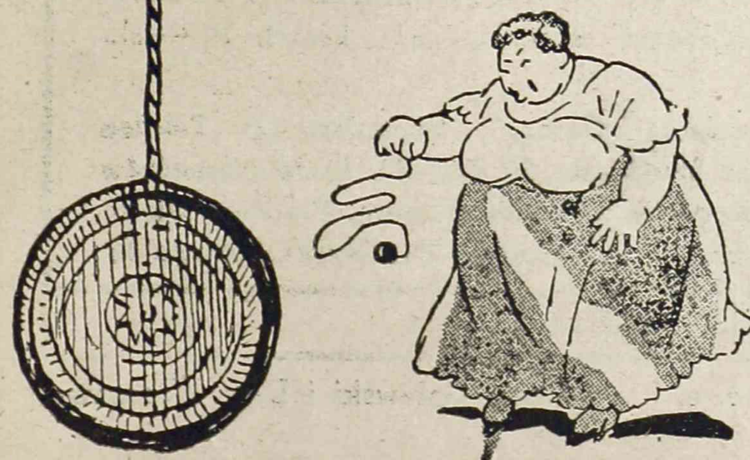
Pisma zagraniczne roją się od rysunków i karykatur z Jo Jo. Zamieszczamy parę bardziej charakterystycznych.

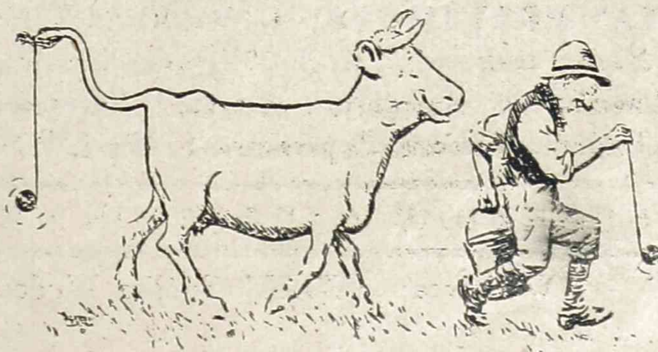


Sztych angielski z połowy 19-tego wieku



Fragment z wazy starogreckiej w Muzeum Narodowem w Atenach. Postać mitologiczna z zapałem gra w Jo Jo.







W najbliższych numerach „ŚWIATA" ukaże się m. in.:

Ankieta, przeprowadzona wśród najwybitniejszych socjologów, polityków, literatów i myślicieli polskich o przyszłości naszej cywilizacji p. t. „Europa za lat 50".

Artykuł p. Zygmunta Chrzanowskiego o położeniu rolnictwa polskiego i środkach jego ratunku.

Cykl korespondencji p. Władysława Mergela z Kowna, obrazujący wszechstronnie dzisiejszą Litwę.

Wesołe wywiady ze znanemi osobistościami ze świata artystycznego p. Julji Keilowej pod ogólnym tytułem „Kwadransik z artystą".

HUMOR ZAGRANICZNY

IDYLLA MAŁŻEŃSKA



— Ta cisza, ten spokój w przestworzach! Jak bezgłośnie płynie strumyk— To głębokie milczenie przyrody...

— Przestań nudzić, — ja też chcę posłuchać!

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47 W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16

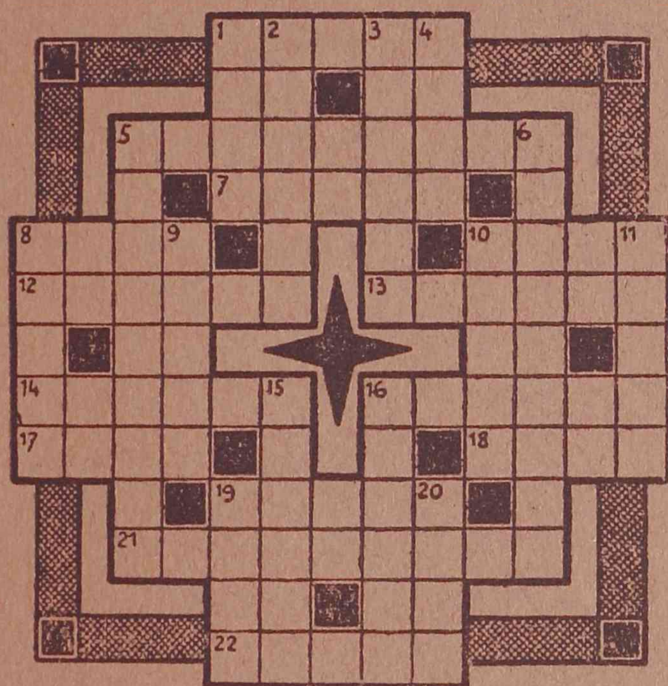
CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 67 (170) KRZYŻÓWKA

(Za rozwiązanie 4 punkty).



Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Inaczej: barwa, 5. Stosunek wzajemny dwóch wyrazów lub zdań, 7. Rodzaj literacki, 8. Zabieg, stosowany przy leczeniu gruźlicy, 10. Tłuszcz wielorybi, 12. Step amerykański, 13. Bogini, 14. Lej wulkanu (wspak), 16. Znana marka krajowych wyrobów kosmetycznych, 17. Staropolski zwrot grzecznościowy, 18. Bóg egipski, 19. Utwór muzyczny, 21. Część kościoła, 22. Liczebnik.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Ryba, 2. Inaczej: zajazd, 3. Inaczej: sposobność, 4. Znak sygnalizacyjny, 5. Inaczej: wykładnia, 6. Wiedza o rolnictwie, 8. Inaczej: oparcie, 9. Lasso tatarskie, 10. Starożytne miasto w Azji Mniejszej, 11. Imię męskie, 15. Inaczej: zachcianka, 16. Inaczej: piesze wyprawy, 19. Część budynku mieszkalnego, 20. Najmniejsza cząstka.

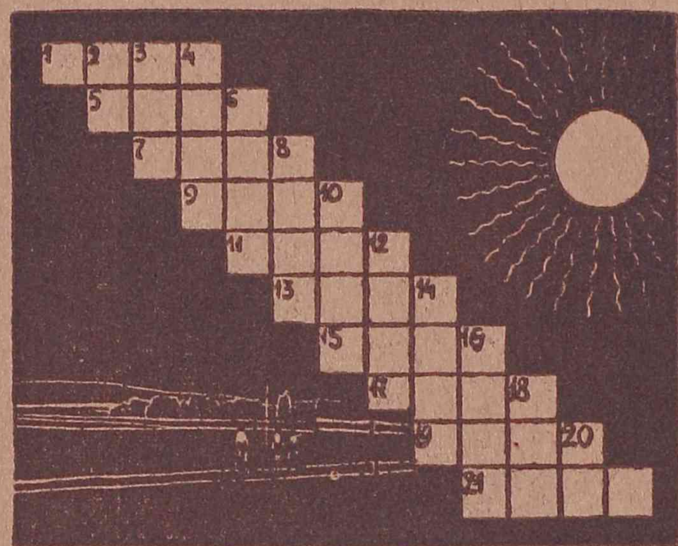
Rozwiązania zadań z Nr. 32 i 34 z powodu braku miejsca umieścimy w następnym numerze.

№ 68 (171) ZADANIE SCHODOWE

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Plac tenisowy, 5. Skrót nazwy jednostki wojskowej, 7. Rak morski, 9. Pośrednik matrymonjalny, 11. Przypadłość chorobowa, 13. Trunek, 15. Inaczej: kość, 17. Ślad, 19. Legendarna postać z dziejów polskich, 21. Działanie zaczepne.

Znaczenie wyrazów pionowych: 2. Rzeka w Azji, 3. Skorupiak, 4. Inaczej: górna część ciała ludzkiego, 6. Część kościoła, 8. Czeski „król obuwia", 10. Publiczne miejsce sprzedaży, 12. Filozof niemiecki, 14. W gwarze „szyja", 16. Święta księga u Żydów, 18. Termin szachowy, 20. Litera fonetycznie.



Rozrywki umysłowe „ŚWIATA"

dostępne dla wszystkich Czytelników, mają podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród, nadto wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne rozwiązania przynajmniej jednego zadania z każdego numeru w ciągu kwartału, rozlosowuje się pięć nagród pocieszenia.

Ogółem redakcja „Świata" przeznaczyła w bieżącym kwartale około pięćdziesięciu wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 14-o dniowym od daty każdego zeszytu pod adresem: Redakcja tygod. „ wiat" Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 34

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

50%

ważny od 7 do 13 października r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer. Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa